

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25. Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb-Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Dunajewskiego No 1. CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej 14-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i ogłoszenia zwykłe kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Kronika towarzysząca, Nekrologi i Nadesłane kop. 75 za wiersz nonparelowy. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb. wewnątrz 6 rb. Artykuły reklamowe z fotografiami 1 strona rb. 175. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda No 1.
Telefony: Redakcji 73-12. Redaktora 68-75. Administracji 73-22 i 80-75.
Drukarni 7-86. FILIA w ŁODZI, ulica Piotrkowska No 81. Za odnośnienie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

ŚWIAT

Rok XI. No 2 z dnia 8 stycznia 1916.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Warszawa, ulica Zgoda No 1.
Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.

Pamiętajcie o wpisach szkolnych.

Wszelkie ofiary przyjmuje
Administracja „Świata”.

Prosimy uprzejmie Szanownych Prenumeratorów o rychłe wniesienie przedpłaty na rok 1916. Numery nieopłacone będą wstrzymane.

ADMINISTRACJA „ŚWIATA”.

Sprawa aprowizacji i drożyzna w Rosyi.

Jeden kilometr kolei wypada w państwie rosyjskiem na 316 kilometrów kwadratowych powierzchni; odpowiednie stosunki dla Królestwa Polskiego wyrażają się w liczbach 36, dla Litwy i Białej Rusi — 48, dla Rusi — 43, dla Galicji — 19, dla Poznańskiego — 11, dla Austrii — 13. W krajach Zachodu stosunki te przedstawiają się daleko lepiej, niż w pruskich i austriackich dzielnicach Polski. Jak widzimy, przepaść dzieli państwo rosyjskie od krajów cywilizowanych pod względem rozwoju kolei i wogóle dróg. Sławetna polityka strategiczna rosyjska, utrudniająca i zakazująca budowy dróg i kolei z obawy przed najściem nieprzyjaciół, nigdy się chyba tak strasznie na rządzie rosyjskim nie zemściła, jak właśnie w dobie wojny przeżywanej. Artykuł niniejszy nie jest poświęcony rozważaniom strategicznym o korzyściach, jakie Niemcom i Austro-Węgrom koleje w dobie wojny przyniosły, i o strasznie dotkliwym ich braku dla potrzeb wojennych armii rosyjskich.

Brak kolei i w innym kierunku niezmiernie się dotkliwie Rosji we znaki daje. Rosya — kraj obfitujący we wszelkie surowce, kraj, o którego wygłodzeniu w czasie wojny nikt chyba poważnie nie myślał, ta Rosya wskutek braku kolei stoi dziś wobec widma głodu. Wygłodzenie, owa główna broń, skierowana przez koalicję przeciwko mocarstwu centralnym, staje się coraz to bardziej jedną z najpoważniejszych

groźb, wobec których stoi główna koalicja podpora — Rosya.

Jakże się bowiem sprawa aprowizacji w Rosyi przedstawia?

Na pozór zdawałoby się, że zaprowiantowanie w Rosyi jest zabezpieczone. Według informacji korespondentów petersburskiej „Torgowo-promyslennoji gazety”, urodzaje w Rosyi w r. 1915 są naogół zupełnie zadawalające. Zbiór zbóż ozimych jest naogół lepszy, niż zazwyczaj, a jarych — przeciętny. Zwłaszcza dobre są zbiory żyta ozimego na południu Rosyi, w guberniach ukraińskich i nad morzem Czarnym położonych. Żyto również przedstawia się dobrze w guberniach centralnych, nad Wołgą i za Wołgą; nieźle na Litwie i w gub. północno-wschodnich Rosyi Europejskiej. Złe zbiory żyta ozimego trafiają się naogół rzadko. Pszenica ozima dała plony obfite w guberniach ukraińskich, wogóle południowych, centralnych i po części w Inflantach. Niedobre zbiory pszeniczne przedstawiają się w znacznej części gubernii litewskich. — Pszenica jara naogół dała plony średnie; dobre — na północnym wschodzie i za Wołgą, po części w guberniach centralnych i na południu, wreszcie po części i na Litwie. Niedobre zbiory pszenicy jarej — w guberniach ukraińskich na południu, w basenie Donu i na Kaukazie północnym. — Urodzaje owsa naogół — średnie; dobre na północy i północnym wschodzie, po części w guberniach centralnych, nad Wołgą i za Wołgą, w pro-

wincjach Nadbałtyckich i na południu. Złe urodzaje owsa — na Ukrainie, Wołyniu, Podolu, w Besarabii, po części na Litwie i w gub. centralnych. — Urodzaje jęczmienia naogół przedstawiają się średnio; lepsze — na północy i północnym wschodzie, po części w basenie Donu, nad Wołgą i za Wołgą i w kraju Nadbałtyckim. Złe urodzaje jęczmienia są na Litwie, Białej Rusi, Ukrainie, wogóle na południu.

Na Syberji urodzaje są naogół średnie.

Zestawiając korespondencje o plonach z dziesięciny z danymi centralnego komitetu statystycznego przy ministerstwie spraw wewnętrznych o powierzchni obsianej, „Torgowo-promyslennoja gazeta” ocenia zbiór w r. 1915 w 60 guberniach Rosyi, t. j. bez Królestwa Polskiego oraz bez okupowanych przez armie sprzymierzone gubernii: kowieńskiej, grodzieńskiej, wileńskiej i bez Kurlandji, za sierpień—wrzesień r. 1915, w sposób następujący:

(pudy zamieniamy w cetn. metryczne):

pszenica ozima	61,904 tys. cetn., metr.
„ jara	13,448 „ „ „
żyto ozime	209,600 „ „ „
owies	133,136 „ „ „
jęczmień	90,816 „ „ „

Naogół urodzaje w Rosyi wypadły w roku bieżącym nieco lepiej, niż w latach poprzednich. Wywóz zboża za granicę, tak zazwyczaj obfity w Rosyi, w czasie wojny niezmiernie z konieczności się skurczył. Zboża i maki przeto brakować nie powinno.

Również nie powinno zbywać na mięsie, nabiale, Petersburgskie „Bieżewija Wiedomosti” z dn. 20 września (3 października) r. b. podają, że na tyłach cofającej się armii rosyjskiej

skiej nagromadziło się przeszło milion sztuk bydła rogatego i tyleż sztuk nierogacizny. Zwierzęta te wraz z ludźmi były spędzane przez cofającą się armię rosyjską ze wszystkich ewakuowanych przez nią okolic. Oczywiście, paszy dla takiej liczby zwierząt na względnie nieznacznym obszarze znaleźć na razie nie sposób. To też zwierzęta te z głodu w olbrzymiej liczbie zdychają, a wszystkie niemal są wyniszczone do niemożliwości. Dla przewiezienia ich włąb Rosyi trzeba ogromnej liczby wagonów, które są zajęte zorganizowanymi dostawami z głębi Rosyi dla armii, przewozem wojsk itd. Gdy przeto w okolicach Pskowa, Witebska, na Wołyniu, w Mińszczyźnie mięsa jest wbród, równocześnie Petersburg, Moskwa, Kijów cierpią głód. Brak mięsa, brak cukru, mleka, brak jaj, brak soli, brak owsa, brak mąki pszennej, brak chleba, nie mówiąc o tem, że brak absolutnie węgla i nawet drzewa.

W Rosyi brak drzewa! Gdy właściwie obszary większe od Europy w państwie rosyjskiem — to obszary lasów odwiecznych! Ale dobieść je do środowisk miejskich, do stolic od tych lasów oddalonych dziś — to rzecz bardzo trudna.

Najdotkliwiej się w Petersburgu i Moskwie we znaki daje brak opału. O węglu niema niemal mowy. Przedmiotem marzeń miast rosyjskich jest drzewo. Na skutek ogromnego podrożenia drzewa Rada ministrów zmuszona została do asygnowania funduszu 10 milionów rubli na zasiłek dla miast rosyjskich, domagających się środków opałow. Donosi o tem petersburska „Riecz“ z 3/16 października r. b. Brak opału i jego niepomiarne drożyzna dają się odczuwać w Petersburgu, Moskwie, Odesie, Archangielsku, Maryupolu (gub. Ekaterynowska), Tambowie, Stawropolu, Wołogdzie, Orle, Mołodzie (gub. Jarosławska), Ufie, Czerńhowie, Nowogrodzie, Kursku, Sudży (gub. Kurska), Lebiedianie (gub. Tambowska), Kańsku (gub. Jenisiejska), Połtawie, Kozłowie (gub. Tambowska), Osie (gub. Permska), Ekaterynburgu, Czerkasach, Buruluku (gub. Samarska), Rewlu, Nowonikolajewsku (gub. Tomska), Rostowie nad Donem, Irkucku, Mikołajewsku nad Amurem, Szczygrach, Makaryewie, Twerze, Charkowie. Ogółem Rada ministrów asygnowała 32 miastom rosyjskim zapomogi specjalne z powodu niebывałej drożyzny opału, zwłaszcza drzewa; węgla bowiem niemal wcale w Rosyi niema.

Skargi do rządu na drożyznę płyną, zwłaszcza z okolic robotniczych — z Włodzimierza nad Kłaznią, z Iwanowo Wozniesienska. Systematycznie tępią lub prześladowana akcja samopomocy społecznej, ruch kooperatywny rosyjski, znalazł się wobec olbrzymich potrzeb dnia

dzisiejszego w stanie zupełnej dezorganizacji i niemocy.

To też nietylko fatalny stan kolei i ich funkcjonowania jest przyczyną kryzysów w aprowizacji. Choć jednak jest on ich przyczyną główną. Na stacyach towarowych stoją dziesiątki kilometrów wagonów niewyładowanych. Brak furmanek, ich drożyzna, brak koni i automobilów towarowych do rozwiezienia ze stacyi kolejowych do miast olbrzymich zapasów przez koleje zwiezionych.

„Riecz“ z 7/20 października donosi, że na stacyach towarowych w Moskwie pozostaje 5 do 6 tysięcy niewyładowanych wagonów kolejowych, oczekujących wyładunku. Tymczasem furmanek braknie. Ta okoliczność skłoniła świeżo mianowanego reakcyonistę, ministra spraw wewnętrznych, Chwostowa, do udania się do Moskwy dla załatwienia sprawy wyładunku tych tysięcy wagonów.

Codziennie w tym czasie liczba niewyładowanych wagonów na węzle kolejowym w Moskwie wzrastała o 600 do 700 sztuk. Ta okoliczność groziła zupełnem zatarasowaniem całej sieci kolejowej w Moskwie. To też na interwencyę Chwostowa do wyładunku dopomódz miała władza wojskowa, która do rozporządzenia wyładunkowego oddać miała wiele automobilów towarowych. Jak się sprawa w tych paru tygodniach posunęła — dla braku gazet rosyjskich nie wiemy. Podobne stosunki ma nieco mniejszą, niż w Moskwie, skalę, mają miejsce w innych miastach, zwłaszcza w Petersburgu. W tym samym czasie (7/20 października „Riecz“) na stacyi Petersburskiej koleji Mikołajewskiej (prówadzącej do Moskwy) stało blisko 2,000 wagonów niewyładowanych. W Moskwie z liczby owych 6,000 wagonów samego drzewa było 1,200 wagonów; a tymczasem Moskwa wobec nadzwyczajnej drożyzny drzewa otrzymuje od rady ministrów miliony zapomogi na opał.

Z Pskowa donosi „Riecz“ z dn. 1/14 października, że na stacyi Bologowskiej drogi Mikołajewskiej stoi dla Pskowa 100 wagonów z aprowizacją; a tymczasem i w Pskowie i w Ostrowiu — mieście w gub. Pskowskiej, brak zupełny chleba, mąki, cukru i t. d.

Obok braku kolei, ich nieznacznej zdolności przewozowej, panoszy się i dezorganizacja na kolejach. Do Elizawetgradu na przykład, gdzie zupełnie brak drzewa i wogóle opału, pomimo bliskości zagłębia węglowego Donieckiego, przychodzi nagle zamiast drzewa i węgla — 20 wagonów arbuzów z Astrachania („Nowoje Wremja“ z 19 września/2 października).

Z brakiem opału w parze idą coraz większe jego kradzieże zarówno z kolei, ze stojących tysięcy niewy-

ładowanych wagonów, jak i z urmanek rozwożących drzewo z kolei.

Kryzysy w aprowizacji wielkich miast rosyjskich różnią się od kryzysów w miastach mocarstw środkowych. Tu mamy większy lub mniejszy brak środków żywności mniej lub więcej stale. W Rosyi kryzysy są kolejne na rozmaite poszczególne przedmioty. W Petersburgu najpierw powstaje brak mąki pszennej. Gdy na skutek uczynionego gwałtu podwieziono jej nieco więcej, powstaje brak drzewa, po nim — brak masy, po nim — brak owsa, wreszcie groził brak nafty i soli. Z przedmiotów nie najpierwszej potrzeby dawała się w październiku we znaki drożyzna płótna, którego ceny z niewiadomych powodów podskoczyły o przeszło 20%. („Nowoje Wremja“ z dn. 28 września/11 października).

Z wszystkich tych braków w aprowizacji stałym wydaje się w Rosyi tylko brak cukru. Wszystkich innych artykułów jest w kraju pod dostatkiem. Ich brak jest wynikiem wadliwej organizacji dowozu. Z cukrem ma się rzecz odmiennie. Rosya zagrożona jest głodem cukrowym nietylko dla niedomagań transportu, lecz dla braku produkcji. Zapotrzebowanie rynku wewnętrznego dla roku 1915 obliczono na 90 milionów pudów, licząc o 4 miliony pudów więcej, niż dla r. 1914, co odpowiadało przeciętnemu corocznemu wzrostowi zapotrzebowania na rynku wewnętrznym. W istocie okazało się, że zapotrzebowanie rynku jest znacznie większe; wypuszczone na rynek 104 miliony pudów zapewne nie starczą. Wzrost spożycia cukru jest z pewnością wynikiem zakazu sprzedaży alkoholu. Zamiast wódki ludność spożywa więcej cukru; pieniądze na wódcę zaoszczędzone wydane zostają na cukier. Tymczasem Rosyę odcięto od 50-ciu cukrowni Królestwa Polskiego. Ogromna większość 24-ch cukrowni na Podolu i Wołyniu z pewnością czynna nie będzie wobec tego, że cukrownie te albo już znajdują się w sferze okupacji Austro-Węgier, albo też znajdują się w sferze działań wojennych.

To też głód cukrowy grozi Rosyi poważnie. Według obliczeń „Petrogradzkich Wiedomostiej“ z dnia 7/20 października, kampania cukrownicza da zapewne zaledwie 86 milionów pudów cukru. Wobec tego powstają projekty zakazu wywozu cukru za granicę, jego sekwestracji, ścisłego dozoru dla przeciwdziałania spekulacji i t. d.

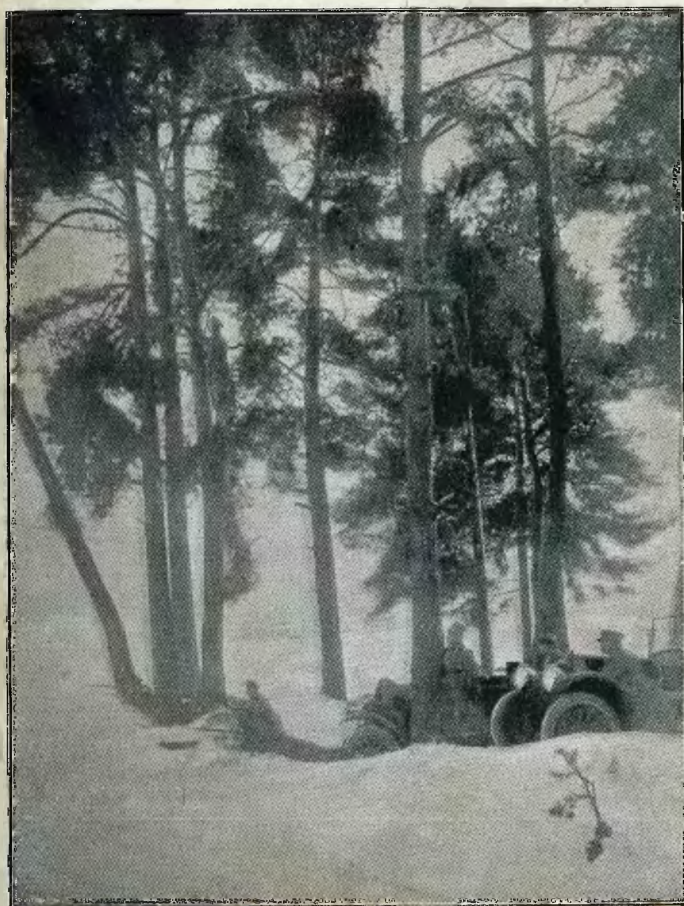
Projekty te w Rosyi są najczęściej bez większego znaczenia praktycznego. Polityka aprowizacyjna jest jedną z największych trudności, jakie napotyka państwo współczesne. Organizm państwowy rosyjski z pewnością nie jest zdolny do racjonalnego takiej polityki zorganizowania.

To też utopijnie wyglądają po-

Z walk nad Strypą.



Transportowanie rannych.



Podjazd rosyjski samochodowy na skraju szosy zawalanej śniegiem.
Na drzewo wdrapał się żołnierz-observator.



Butelka przechowuje kartę z nazwiskiem poległego: taki system
wynaleźli żołnierze francuscy, chowając swoich współtowarzyszów.

dawane przez pisma rosyjskie projekty zmonopolizowania przez państwo handlu węglem, naftą, drzewem („Dień” i „Birżewyja Wiedomosti” z dn. 8/21 października).

Przyczyny tych braków aprowizacyjnych „gradonaczalnik” Petersburga, książę Obolenski, któremu powierzono politykę aprowizacyjną w stolicy, upatruje w fakcie, że przybyło do Petersburga przeszło pół miliona uchodźców z dzielnic okupowanych, że nadto wskutek wypadków wojennych i niedostatecznej sieci kolejowej Petersburg stał się punktem rozdzielczym dla aprowizacji ludności, liczącej 15 milionów głów. Wśród ludności panuje panika. Czynione są nadmierne, zbyteczne zakupy w obawie przed wzrostem drożyzny; zapasy leżą niepotrzebnie po domach prywatnych, zamiast tego, by je sprzedawano w handlu detalicznym. Na tem tle powstaje spekulacja na wielką skalę. Niektóre gazety protestują przeciwko aprowizacji Finlandy przez petersburski węzeł kolejowy; protesty te, oczywiście, są nierzeczowe: Finlandya nie mniej od stolicy aprowizacji potrzebuje.

Miedzy projektami zaradzenia brakom na uwagę zasługuje projekt zniesienia granicy celnej z Finlandyą, aby na komorze petersburskiej nie zatrzymywać towarów, kierowanych do Finlandy. Projektują zakaz wywozu masła z Finlandy za granicę, dla skierowania go do Petersburga. Wobec obfitości bydła w Rosyi, takie projekty najlepiej charakteryzują fatalny stan dowozu do stolicy.

W miastach bezpośrednio przez okupację zagrożonych, jak Ryga, Dyneburg — panuje nadzwyczajna taniość mieszkań przy ich nadmiernej drożyznie w głębi kraju. Zjawisko to zupełnie zrozumiałe. Obok kryzysów aprowizacyjnych staje przeto i kryzys mieszkaniowy; powstają projekty ustanowienia taryfy maksymalnej na komorne podobnie, jak istnieją taryfy na artykuły spożywcze. Poza taniością mieszkań w Rydze i Dyneburgu panoszy się nadzwyczajna drożyzna: w Rydze funt nafty kosztuje 30 kop., funt świec — 80 kop. („Nowoje Wremja” z dn. 26 września /9 października).

Tuhan Baranowski w rozprawie swej, dotyczącej kwestyi aprowizacji w Rosyi, analizuje przyczyny panoszącej się drożyzny. Leżą one nie tyle w znacznej ilości pieniędzy, wywołanej nadzwyczajną emisją biletów kredytowych, ile w stosunku podaży do popytu na towary. Podaż towarów się skurczyła wskutek tego, że robotników wzięto do wojska, tymczasem popyt wzrósł wskutek potrzeb wojny. Nadto brak organizacji rynku w Rosyi jest w znacznym stopniu przyczyną fatalnej sytuacji w dziedzinie aprowizacji: brak nawet tych towarów, których jest pod dostatkiem. Rosya ma dosyć zapa-

sów żywności dla swej ludności. Np. cukru jest zupełnie dosyć wobec ograniczenia wywozu *); również lasów w Rosyi nie brak, a więc i drzewa. Niektórzy przyczynę drożyzny upatrują w spekulacji; oczywiście, spekulacja istnieje i znaczną gra rolę w śrubowaniu cen, jest ona jednak raczej skutkiem ogólnej dezorganizacji rynku, nie jej przyczyną.

Gdy bowiem towarów jest dosyć, spekulacja handlarzy, wszelkie zmony i ryngi — to broń obosieczna, zwłaszcza w dziedzinie towarów, jak masło, chleb.

Wojna, niepewność sytuacji gospodarczej dzisiaj — to główne przyczyny kryzysów przez wszystkie większe skupienia ludności dziś w Rosyi przeżywanych. Wobec tej niepewności prowadzenie interesu jest rzeczą ryzykowną; gospodarkę i aprowizację ująć powinny w swe ręce ciała komunalne.

*) Tuhan Baranowski nie uwzględnia wzmiankowanego przez nas ograniczenia produkcji cukru przy wzroście zapotrzebowania.

Trudności gospodarki prywatnej wzmagają kwestya waluty, zniżka kursu rubla. Rosya wprawdzie stała się w czasie wojny państwem niemal od rynku światowego izolowanym, żyje własnym życiem gospodarczym, niezależnym od rynku międzynarodowego.

Obrót papierami kredytowymi przy zniesieniu ich wymiany na złoto stwarza niezmiernie trudności kredytowe. Spadek wartości papierów wywołuje ich znaczną podaż; stąd pogoń za towarami, niechęć do trzymania znacznej gotówki. Tu też leży jedna z głównych przyczyn rozpianoszonej i wzrastającej drożyzny.

Naogół, jak widzimy, Rosya pod względem drożyzny i aprowizacji nie znajduje się bynajmniej w lepszym położeniu, niż środek Europy. Lepsze sytuacje mogą się wprawdzie przytrafiać, zwłaszcza w bliskości linii bojowej. Naogół jednak opał aprowizacyjny skupień większych w Rosyi bodaj są znacznie cięższe, zwłaszcza wobec ciężkiej zimy rosyjskiej, aniżeli u nas.

Edward Grabowski.

Z dziejów emigracji polistopadowej we Francyi.

(Ze źródła archiwalnego).

2

Depesza hr. Medema z Paryża z dn. 23 sierpnia 1837 r. do kanclerza Nesselrodego.

Depesza Waszej Eksc. z dn. 24 lipca omawiała intrygi wychodźców polskich we Francyi i bezskuteczność środków podejmowanych dotychczas w celu ich zatamowania. Była również wyrazem zdziwienia ze strony Gabinetu cesarskiego z powodu doniesień, zawartych w depeszy mojej z dn. 9 lipca za Nr. 54 dalekich od zapewnień stanowczych, jakie nasz ambasador otrzymał był od ministerium francuskiego. Wreszcie depesza W. Eksc. przesłała mi uwagi Cesarza, zalecające mi czynienie bez żadnych zastrzeżeń oświadczeń P. Prezesowi Rady w sprawie zbrodniczych dążeńi prowodyrów zamieszek przezemnie sygnalizowanych, następstw ich i nieodzownej konieczności zarządzenia środków represyi przeciwko emigrantom polskim, aby postawić ich w niemożności nadużywania nadal gościnności, udzielonej im pod warunkiem, że szanować będą spokój Francyi i stosunki jej na zewnątrz.

Na krótko przed otrzymaniem owych zleceń, miałem zaszczyt przesłać W. Eksc. sprawozdanie z ostatniej mojej z P. Molé rozmowy w tym przedmiocie, wraz z kopią szczegółowego raportu prefekta policyi o emigracji polskiej.

Komunikat pomieniony był pierwszym tego rodzaju, jaki mam dano

w odpowiedzi na nasze przełożenia (*remontrances*), a jeżeli ten pod wieloma względami nie był zaspokajającym, to przynajmniej świadczył o dobrych chęciach Prezesa Rady, który korzystając z chwilowej nieobecności kolegi swego ze spraw wewnętrznych, pozyskał pewne dane, jakich nie mógł za pośrednictwem tegoż otrzymać pomimo domagania się w tej mierze, jak mnie co do tego zapewnili.

„Był to pierwszy w lepszych intencjach uczyniony krok, lecz jeszcze nie tyle dostateczny, by uczynić zbyteczną uwagę, jakie stosownie do otrzymanych zleceń zrobić mu miałem, a które świadczą o ważności, jaką do tej sprawy przywiązujemy z racyi prawa i polityki; wyższej, będących podstawą reklamacyi naszych.

„W dniu i o godzinie oznaczonej dla rozmowy naszej, udałem się do P. Molé i rozpocząłem, przed przystąpieniem do celu głównego mojej wizyty, od wynurzenia zadowolenia mego, iż nie jestem zmuszonym do zakomunikowania mu wyjaśnień od Dworu mego otrzymanych, a to wskutek rezultatów naszych uprzednich rozmów. Depesza moja mogła jedynie złagodzić wrażenie tych, które wywołały rozkaz właśnie przezemnie otrzymane. W każdym razie było moim obowiązkiem odczytać te ostatnie i zwrócić jego uwagę na ich ważność.

„Wtedy to wyjaśniłem P. Molé, iż cesarz mógł być zdziwionym, widząc, iż miesiące całe upłynęły, a nie mogliśmy się doczekać urzędowania zapewnien ministrów francuskich. Zamiast tego, emigranci polscy, wolni od wszelakiego przymusu, zdwoili tylko swoją działalność i zuchwałstwo. Mogłem to stwierdzić faktami, mianowicie, że tak zwana *Centralizacja* wychodźców polskich utworzyła dwie filie w Paryżu pod nazwą *gminy Rivoli* i *gminy Vaugirard*. Pierwsza zbierała się u Michała Chodźki, druga zaś u Pieniążka. Zgromadzenia odbywały się każdej niedzieli. Pp. Lelewel w Brukseli, Różycki w Agen, Józef Zalewski w Marsylii, Ordega w Bordeaux i Krzyżanowski w Troyes, prowadzili korespondencje w duchu tegoż *Towarzystwa Centralizacji*, którego celem głównym było wzniecenie nowej w Polsce rewolucji; że Adolf Zalewski, wygnany z Francji z powodu zamieszek sabaudzkich, powrócił do Paryża; chełpił się, że zrobił kilka do Polski wycieczek i że je ponowi. Niejaki Sze-miot, obecnie w Nancy bawiący, twierdził, że również stamtąd powraca, że był posłanym tam z listami emigrantów. Uważałem przeto za konieczne zalecić tych panów szczególniejszej baczności ze strony policyi.

„Co się tyczy bankietu polsko-francuskiego, mającego się odbyć 3 września w pobliżu Fontainebleau, z powodu poświęcenia pomnika na cześć Kościuszki, przygotowano mowy i wierszowane utwory. Mają one odwołać się do wszystkich patryotów polskich z wezwaniem do działania. Program owej uroczystości rozesłany został do wszystkich tak zwanych przyjaciół narodowości polskiej z zaproszeniem ich do wzięcia w niej udziału. Między członkami komisji zauważono nazwiska: Julliena, dawnego sekretarza Robespiera, Schouena, prokuratora generalnego izby obrachunkowej, i Kazimierza Delavigne'a, członka akademii francuskiej.

„Wręczywszy p. Prezydentowi Rady notę oddzielną, w której przytoczyłem fakty powyższe, oświadczyłem, iż otrzymałem rozkaz przypomnienia mu, że od lat pięciu, za wszystkich ministrów, którzy kolejno postępowali po sobie we Francji, gabinet Tuileryjski nie zaniedbywał nigdy stawiać jako zasadę, że wychodźcy polityczni, korzystając we Francji z przytułku udzielonego im indywidualnie, jako schronienie winne nieszczęśliwym, nadużyliby owej gościnności i stałoby się jej niegodnymi, gdyby ustanawiając się jako ciało narodowe, spiskowali przeciw państwu, z którymi Dwór francuski pozostaje w stosunkach przyjacielskich. Opierając się na takiej zasadzie ścisłej sprawiedliwości, gabinet francuski nie przestawał uważać



Nauka zegarmistrzostwa, pod kierunkiem „Opieki nad młodzieżą rzemieślniczą” tylko dla dzieci rezerwistów. Aleja Jerozolimska 78. Kierownik zawodowy p. Antoni Morawski.



Nauka kamasznictwa, pod kierunkiem „Opieki nad młodzieżą rzemieślniczą” tylko dla dzieci rezerwistów. Aleja Jerozolimska 78. Kierownik zawodowy p. Kazimierz Rekwart.

reklamacyi naszych ambasadorów: hr. Pozzo di Borgo i Pahlena za słuszne, ilekroć wychodźcy polscy przemawiali, działali i konstytuowali się, jako przedstawiciele polityczni swego Narodu.

„Przypominałem hr. Molé, że było to zapoznaniem owej zasady, jeśli księgarnia polska w Paryżu ośmieliła się wydrukować i rozpowszechniać projekt *Statutu organicznego* emigracyi, zaproponowanego przez Komitet centralny do uznania wychodźców wszelkich sekcji francuskich. Dostateczne tylko powołać się na tytuł owego dokumentu, aby uznać jego dążność występną, gdyż zapowiada organizację stałą, w celu podtrzymania ruchów rewolucyjnych.

„P. prezydent Rady odpowiedział mi, iż spodziewa się, że Dwór rosyjski nie wątpił nigdy o tem, że zasadniczo i z przekonania on. p. Molé, był zdeklarowanym przeciwnikiem wszystkich prowodyrów zawichrzeń i nieporządków i że nie omieszką przeciwdziałać ich zamiarom wszystkim dostępnymi mu środkami prawnymi. Zajęcia ostatniej sesji zbyt, niestety, go zaabsorbowały i nie dozwoliły poświęcić uwagi sprawom bieżącym, na pozór drugorzędnego znaczenia. — Do kategorii tych ostatnich nie zalicza sprawy przedstawionej mu imieniem mojego Dworu; uznaje, że jest ona zgodną z zasadami prawa narodów i wzajemności, lecz nie może się zgodzić na fakt, jakoby rząd francuski

pozostawił emigrantom polskim swobodę działania, co zachęciło ich jakoby do śmielszych kroków, że raport p. Delessierha, mnie doręczony, oraz inny, zakomunikowany mu przez kolegę ze spraw wewnętrznych, stwierdzają natomiast ów nadzór, który jest nad emigracją rozłożony; że prawa wyjątkowe niewątpliwie pozwalają rządowi na podejmowanie środków przymusowych, szybkich i energicznych przeciw cudzoziemcom, lecz nie idzie za tem, by je stosować, bez wniknięcia gruntownego w naturę przekroczeń im zarzucanych; stąd pochodzi częstokroć mimowolna zwłoka ze strony władz; że rząd francuski, jakimkolwiek byłby stopień zażyłości jego z mocarstwami obcemi, czuwałby bacznie nad tamowaniem wszelkich rewolucyjnych zamiarów, jakieby emigracja snuła przeciw rządowi obcemu, że działałby w takim razie w interesie społecznym, oraz w przekonaniu, że każdy projekt tego rodzaju zwracałby się przeciw sile i powadze rządu nie zdolnego do ukrócenia podobnych wykroczeń, że uznaje ważność przedmiotu i nie omieszcza przedstawić go rozprawce rady, by zjednoczyć środki policyjne najskuteczniejsze dla kontrolowania propagandy i jej tamowania, że, co dotyczy nowych faktów, jakie ujawniłem, a zwłaszcza odnoszących się do uroczystości zapowiedzianej na dn. 3 września w okolicach Fontainebleau, nie omieszcza zająć się tą sprawą, by w miarę możliwości zadowolić gabinet cesarski.

Post scriptum.

„P. prezydent Rady, którego spotkałem na obiedzie u króla, doniósł mi, iż komunikat mój i szczegóły wyłuszczone o emigracji polskiej były przedmiotem narady w Radzie stanu. Uchwalono, by zdwoić czujność nad wychodźcami i stosować wszelkie środki prawne w celu zatamowania występnych ich knośni. Władza zajmie się zgromadzeniem franko-polskiem, zapowiedzianem na 3 września w okolicach Fontainebleau. Wszystko będzie zrobione dla zapobieżenia mu, a przynajmniej dla przeszkodzenia manifestacji. Nadmienię p. Molé, że król bardzo nastawał w tym duchu, zalecając głównie ministrowi spraw wewnętrznych, by zwracał nieustanną uwagę na postępowanie cudzoziemców i ich stowarzyszeń“.

O emigracji polskiej

(raport policyjny paryskiej z r. 1837).

Uwaga rządu, obudzona wobec ducha naganego, tkwiącego w redakcyi pewnych pism polskich ogłoszonych w Paryżu, wywołała potrzebę przeglądu obecnego stanu części emigracji przebywającej w stolicy i zalecenia prefektury policyjnej dostarczenia informacji zawartych w niniejszym memoryale.

Zanim się przejdzie do faktów, niezbędne jest przedstawić niektóre uwagi dotyczące prasy polskiej w ogólności. Zarząd policyjny zawiadamianym jest stale o każdej nowej publikacyi, o jej duchu i dążności, o nazwiskach i zamieszkanu ich redaktorów. Zaleca on czuwać troskliwie nad tymi, którzy zasługują na uwagę szczególną. Ilekroć pojawia się

nowe pismo, lub numer pisma już znanego, zawierające artykuł treści nagannej względem rządu francuskiego, lub zbyt nienawistny względem Rosyi, zarząd stara się bezwzględnie komunikować go ministrowi spraw wewnętrznych, lub też kierować do sądu. Wskutek tego wiele już pism polskich zakazano.

DN.

Aleksander Kraushar.



Karol Bányai.



Dr. Adryan Divéky.



Zempléni Arpád.

Nasi przyjaciele na Węgrzech.

Wojna obudziła zainteresowanie się Polską w całej Europie, a na Węgrzech większe zapewne, niż gdzie indziej. Tem ciekawszem będzie przypomnieć kilka takich osobistości, które na długie lata przed wojną interesowały się sprawami Polski, jej stanem politycznym, nauką i literaturą.

Na pierwszym miejscu wymienić tu muszę dra Adryana Divéky'ego, historyka, który w czasie swych studyów w Krakowie, Warszawie, Lwowie, Wilnie i Poznaniu zdobył sobie imię i wśród polskich kół naukowych szeregiem prac dotyczących politycznych i kulturalnych związków Węgier z Polską. Na Węgrzech był dr. Divéky niezmordowanym propagatorem sprawy polskiej, zaznajamiając z nią swych ziomeków w szeregu artykułów dziennikarskich oraz odczytów, wygłoszonych tak w stolicy Węgier, jak i na prowincyi. On jeden z pierwszych podniósł sprawę polaków na Orawie i Spiżu, domagając się dla nich praw narodowych i ochrony przed zesławaczeniem, i jego w znacznej mierze zasługą jest pozyskanie dla tej sprawy opinii węgierskiej. Nie zapominał o nas dr. Divéky i w czasie wojny, informując opinię węgierską w artykułach swych, bezstronnych a pełnych znajomości rzeczy, o naszym położeniu i dążeniach narodowych. Zwłaszcza dwa obszernie studia p. t. „Polacy i trójporozumienie“ i „Polacy a Niemcy“, pomieszczone niedawno w najpoważniejszym politycznym czasopiśmie węgierskiem „Magyar Figyelo“, poczytać mu trzeba za prawdziwą zasługę dla naszego narodu.

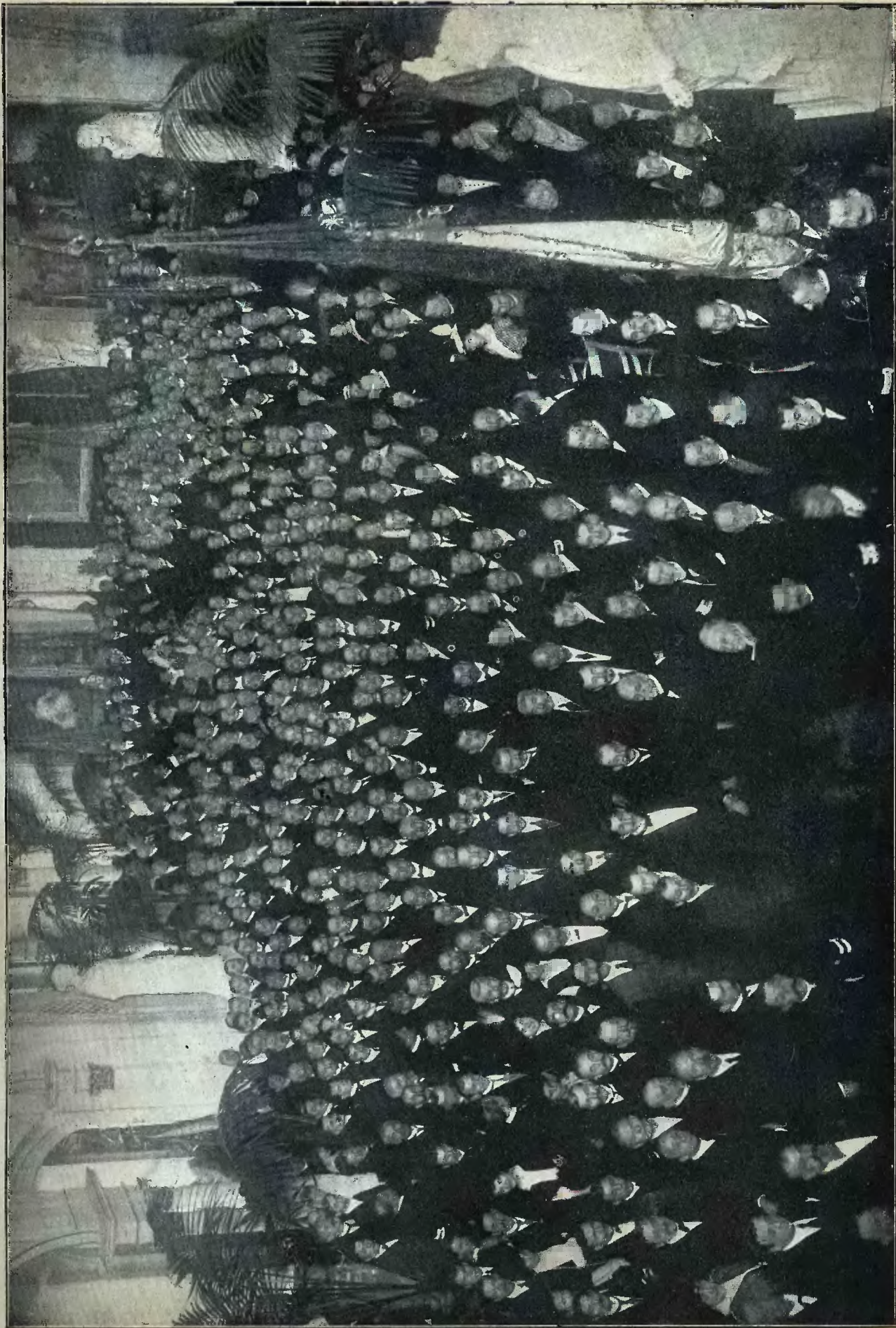
Zempléni Arpád (nazwisko rodzinne: Imrey) jest jednym z najwy-

bitniejszych poetów lirycznych węgierskich naszej doby. Jego „Turáni Dalok“ („Turafskie pieśni“), które doczekały się tłumaczenia na język angielski i niemiecki, uważane są za perłę literatury węgierskiej dzięki oryginalności myśli, przepięknej formie i świetnemu językowi. Zempléni, który przełożył na język węgierski „Mazurek Dąbrowskiego“, przyswoił nadto poezyi węgierskiej szereg lirycznych utworów Mickiewicza i Ujściejskiego (także: „Chorał“) a ostatnio wiersz Żuławskiego „Do moich synów“, zadziwiając wiernością w oddaniu myśli i formy.

Na polu przekładów z naszej literatury powieściowej niespożyte zasługi położył Karol Bányai. Tłumać on rzeczy Sienkiewicza („Bartek zwycięzca“, „Ogniem i mieczem“, „Na polu chwały“, „W pustyni i w puszczy“), Żeromskiego („Rozdział nas kruki, wrony“), Szymańskiego („Srul z Lubartowa“, „Dwie modlitwy“), nowele Stasiaka, Kopnickiej, Prusa („Grzechy dzieciństwa“, „Z legend dawnego Egiptu“), Rodziewiczówny, Weyssenhoffa, Tętmajera i Niemojewskiego. Z tłumaczeń jego złożałaby się niemal mała biblioteka. Jak Bányai potrafił wycisnąć w ducha naszego języka, świadczy najlepiej przekład „Ogniem i mieczem“, w którym z rzadkim pietyzmem odtworzyć potrafił każdy archaizm i każdy odcień, czy grę słów mistrzowskiego pióra. Jako zaś znawca literatury polskiej, mógł iść w zawody z niejednym z naszych krytyków literackich.

Budapeszt, grudzień.

Dr. Jan Dąbrowski.



Uczczenie zasług księcia Prezydenta, przez wszystkie niemal korporacje i przedstawicielstwa, stołecznego miasta Warszawy.

Fot. Marian Fuks.



Fot. Maryan Fuks.

Księżę Zdzisław Lubomirski w otoczeniu swojej rodziny.

O muzeum przyrodnicze w Warszawie.

Żyjemy w czasach projektów. Niema dnia, aby pisma nie doniosły o organizowaniu nowych instytucji kulturalno-społecznych lub naukowych. Świadczy to, iż w społeczeństwie istnieje pęd nieprzeparty do odrobienia tego—co przez długi czas było marzeniem.

Chciałbym zwrócić uwagę na jedną sprawę, piękną i ważną, ale niezbyt umiejętnie ujętą. Chodzi mój o projektowane Muzeum miejskie.

Czem ono ma zostać?

Słyszmy o muzeum Sztuki narodowej w najszerszym znaczeniu, o muzeum archeologicznem, etnograficznem — głucho tylko o przyrodniczem. A jednak jest to instytucja nie mniej pożądana, jak poprze-

dzie. Pierwsze to dowody i inwentarz pracy duchowej Polski — muzeum przyrodnicze, to oblicze naturalne Polski.

Wpływ natury ma człowieka i co za tem idzie, na naród jest rzeczą uznaną. Może nie jest on tak silny, jak głoszą pewni apostołowie tego poglądu — jest on jednak niewątpliwy. Zrozumiano to wszędzie i oto w XIX i XX stuleciach powstała jedno po drugim muzea przyrodnicze w Europie. Zdobywają się na nie nie tylko mocarze świata, ludy potężne i bogate, o starej kulturze naukowej, lecz i narody małe, młode. Dość, że wspomnę tutaj o wspa-
niałych muzeach przyrodniczych w Budapeszcie lub Pradze Czeskiej.

I nie należy sądzić, aby to była moda, wywołana niezwykle w dziejach wiedzy rozwojem nauk przyrodniczych w ostatnich czasach. I nie jest to luksus, na jaki bogaci jedynie pozwolić sobie mogą. — Muzea przyrodnicze są taką samą koniecznością, jak muzea historyczne lub artystyczne, a to dlatego, że dają one nam obraz kraju rodzinnego.

Dają obraz naturalnego życia i bogactw tego szmatu ziemi, który zamieszkał pewien naród. One odzwierciedlają ten krajobraz ojczysty, co stwarza arcydzieła, połotu ducha, co tkwi w duszy narodu, idzie za nim na obczyznę, który jego duszę kształci i nastraja.

Hasło poznania kraju rodzinnego jest równie szczytne i konieczne, jak znajomość dziejów swego narodu. A do poznania kraju nie wystarczą

wycieczki krajoznawcze z tego prostego powodu, iż mało jest znać pewien krajobraz, a właściwie oglądać go — należy go zrozumieć. A w tym celu trzeba dać obraz kraju, jego oblicze — to, co człowiekowi najłatwiej zrozumieć i zapamiętać. Trzeba stworzyć wielki i łatwy podręcznik wiedzy o kraju — a takim być może jedynie muzeum przyrodnicze.

Nie jest to sprawa do odwiekania. Warszawa nie posiada dotychczas takiej instytucji. I nie posiada jej właściwie cała Polska. Bo ani Muzeum Komisji Fizyograficznej w Krakowie, ani Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, ani Muzeum Poznańskie pomimo wielkiego bogactwa zbiorów, nie są tem, czem muzeum takie być powinno. W Warszawie istnieją zbiory przyrodnicze przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa — ale jakżeś biednie wyglądają one przy zbiorach etnograficznych — a pomimo to iuż ludzi je

zwiedza! Brak miejsca — oto chroniczna choroba.

I nawet zbiory są — ale są w pakach.

Czas z tem skończyć! Czas wielki stworzyć instytucję poważną — muzeum nowożytnie, któreby nietylko dawało całokształt naszych naturalnych stosunków, nietylko uczyło o naturze polskiej na naturze polskiej, ale również dla poznania tej natury pracowało.

Żyjemy pod tym względem w szczęśliwych warunkach. Nasi młodzi przyrodnicy, uczniowie Lwowa i Krakowa, garną się z zapałem do fizyografii — są doskonałymi zbieraczami. Trzeba dać im tylko możliwość pracy — a gmach stanie. Odżyją tradycje badaczy natury ojczyściej — tradycje, równe tradycjom Zachodu. A może wtedy zamrą nareszcie poglądy o rozmaitych przejściowościach Polski, „oparte na danych naukowych“.

Br. Rydzewski.

Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie.

Największa biblioteka w stolicy polskiej, nawet na całej polskiej ziemi, założona ongi, przed stu bezmałą laty znojem polskim i ofiarnością polską, stać się miała instytucją obcą i obojętną dla polskiej kultury i nauki. W małym światku wielkiego księgozbioru odbiły się nasze stuletnie zawody i klęski.

Powstała biblioteka uniwersytecka w latach zmartwychwstałych nadziei, w latach wyteżonej pracy dla terażniejszości i dla przyszłości. Założona w roku 1817 w dawnym pałacu Kazimierzowskim składała się biblioteka uniwersytecka pierwotnie z księgozbioru szkoły aplikacyjnej, zebranego dzięki wysiłkom ministrów Łuszczewskiego i Lubieńskiego, tudzież licealnego, który już wchłonił w siebie zbiory dawnej Szkoły kadetów, i arcybiskupa Ignacego Krasińskiego. Uczony autor słownika języka polskiego, Linde, został pierwszym dyrektorem nowej biblioteki; na bibliotekarza powołano Joachima Lelewela. Mając takich kierowników, ciesząc się możną opieką ministra oświaty, Stanisława hr. Potockiego, wzrasta biblioteka z zawrotną szybkością. Rocznie 18.000 złp. — sumę bardzo znaczną na owe czasy — wydawano na kupno książek, a jednocześnie napływały liczne dary, przybywały druki i rękopisy zwożone z księgozbiorów klasztornych. Po czterestu latach istnienia liczyła już biblioteka publiczna przy Warszawskim Uniwersytecie 150.000 druków, w tej liczbie około 6.000 inkunabułów, tudzież przeszło tysiąc rękopisów. Nadto włączono do biblioteki słynny zbiór sztychów i rysunków, zawierający blisko 90.000 numerów inwentarzowych, który składał się w lwiej części z przebogatych zbiorów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Niedługo jednak danem było Warszawie cieszyć się biblioteką uniwersytecką. Przyszedł rok 1831, Warszawa stała się zdobyczą wojsk rosyjskich, a biblioteka, ta chluba i duma miasta, na specjalne życzenie cesarza Mikołaja I, jako łup wojenny miała powędrować do Petersburga — dzielić

rownik ówczesny biblioteki, towarzyszy ongi pracy Lindego, Lelewela — Zaorski, w miarę sił pracował nad uporządkowaniem zbiorów.

Prawdziwe odrodzenie Biblioteki uniwersyteckiej nastąpiło dopiero w roku 1862. Popierana gorliwie przez margrabiego Wielopolskiego, stać się miała instytucją pomocniczą dla Szkoły Głównej. Dzięki potężnej protekcji margrabiego obdarzono Bibliotekę 17.000 dubletów księgozbiorów petersburskich, wśród których było wiele druków wywiezionych ongi z Biblioteki Załuskich, przeznaczono 6.000 rubli rocznie na zakup książek, wreszcie dano Bibliotece wykwalifikowanych kierowników w osobach dyrektora Józefa Przyborskiego, bibliotekarza Karola Estreichera, kustoszów Bartoszewicza i Skimborowicza. Zawrzała znowu praca w salach bibliotecznych pałacu Kazimierzowskiego... Niestety i ten okres pomyślności Biblioteki nie trwał długo: w roku 1871 zamieniono ją już na Bibliotekę uniwersytecką. Usunięto Przyborskiego, by na jego miejscu osadzić prof. Barsowa, zaczęto gorliwie pracować, by zetrzeć z Biblioteki piętno instytucji specyficznie polskiej, upodabniając ją do bibliotek uniwersytetów rosyjskich. Oczywiście, zgodnie z obyczajami rosyjskimi starano się, by w Bibliotece wszystko było „ostatniem słowem nauki“, — pomimo to szerzył się nieład coraz większy, a książki nieraz najcenniejsze, szczególnie stare polskie druki, zaczęły w niewytłomaczony sposób ulatniać. Po Barsowie przyszedł uczony dyrektor Bibliot. w osobie prof. Wiechowa. Przypadł mu zaszczyt przeniesienia Biblioteki do nowego gmachu, który zastąpił piękną fasadę Kazimierzowskiego pałacu. Za rządów Wiechowa ładu w Bibliotece nie przybyło, nieporządek i rozgardiasz zwiększyła jeszcze dwukrotna ewakuacja; pomimo wszystko Biblioteka uniwersytecka, która dzięki egzemplarzom przymusowym i bogatej dotacji wzrosła do przeszło 500.000 tomów, odda niewątpliwie olbrzymie usługi nauce polskiej, dostawszy się znowu w ręce polskie po 44 latach rządów rosyjskich działaczy. *T. Rounaud.*

Gwiazdka dla roznosicieli gazet w Warszawie.



Z inicjatywy kanoniczki, hr. Rzewuskiej, powstał klub dla roznosicieli gazet. W klubie tym otrzymują strawę, mogą się umyć, a nawet panie uczą ich czytać.

TEATR POLSKI. „Niebieski Ptak“ Maeterlinka.

W wieczór Sylwestrowy, gdy każdy każdemu, szczerze czy nie-szczerze, szczęścia życzy, poczęstował Teatr Polski swych przyjaciół najpiękniejszą bajką o szczęściu, jaką stworzyła poezja współczesna. Gdy zasłona się podniosła i gdy rozpoczął się wątek błękitnego snu dwojga ubogich dzieci, ten i ów wysmokingowany pan spoglądał na sąsiada dowcipnie: — Pan Gorczyński traktuje nas jako małoletnich. Tak dojrzały i rozważny umysł opiera się technieniu poezji. Ale gdy poezja jest szczerą, a technienie głębokie, opór mięknie, t. zw. zdrowy rozsądek otrzymuje zasłużony urlop i dusze i duszyczki widzów dają się pociągnąć w zaczarowaną krainę marzeń. I przez chwilę zdaje się im nawet, że widzą to, czego oko ludzkie nie sięgnie. Poeta sprawia, że w tysiącach serc budzą się uczucia proste, w znużonych codziennością zgryzotą życiową umysłach osiada zaduma, pełna smętku i tęsknoty, a jednak słodka, bo od powszedniej szarości odrywająca. Noworoczna bajka o szczęściu, którą Teatr Polski ofiarował swym przyjaciołom, była podarunkiem rozkoszonym, w troskach, jakie przeżywamy, nad wyraz trafnie dobranym.

Wypowiedziano zaś tę bajkę bardzo pięknie. W zgodnych usiłowaniach połączyli się malarz, muzyk i artyści. P. Karol Frycz skomponował kostiumy i dekoracje. Nigdy może talent jego nie święcił takich tryumfów, jak w tej właśnie pracy. Zwłaszcza obraz Królestwa Przyszłości był godnym dziełem plastyka-poety. Najmniej natomiast, może nie z winy malarza, udał się obraz na cmentarzu, Muzyka p. Lucyana Marczewskiego wymaga oddzielnego omówienia. Dziś powiemy tylko, iż p. Marczewski po raz wtóry, w krótkim przeciągu czasu („Noc Listopadowa“), składa dowód wielkich zdolności kompozytorskich, przemawiając do uczucia słuchaczy melodyą oryginalną, opracowaną kunsztownie i umiejętnie. Artyści wreszcie, po pewnym zawahaniu się w 1-akcie, w następnych świetnie wniknęli w ton Maeterlinkowskiej bajki. Para dzieci, odtwarzana przez Tadzia Żydlera i Cesię Kozłowską, była doskonała. Zwłaszcza malec imponował swobodą i temperamentem scenicznym. Z pośród „stowarzyszonych“ Teatru Polskiego na czoło wysunął się p. Józef Węgrzyn, znakomity w roli wiewniwego psa. Jaki humor posiada ten artysta, jak sumiennie przestudował ruchy, gesty, intonacje! Tej dbałości zabrakło cokolwiek p. Dulebiance, bardzo uroczej kotce. Wybornymi byli pp. Jarniński (Chleb) i Węgieńko (Cukier). Ładnie mówiła



Karol Adwentowicz (w roli Zygmunta Augusta) i Janina Szyllinżanka (w roli Giżanki).
Fot. Wł. Satyblewski.

p. Rotterowa, jako „Królowa Nocy“. Fertycznie kręciła się jako „Płomienną“ p. Janiczówna; „wieprzak“ (p. Błkowski) budził wybuchy śmiechu. Aby być sprawiedliwym, należałoby wymienić wszystkich wykonawców, na co jednak brak miejsca nie pozwala...

S. K.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Ostatni“, dramat w 4-ach aktach Lucyana Rydla.

Teraz dopiero mogliśmy ujrzeć na scenie trzecią część Rydłowskiej trylogii. Cenzura rosyjska zatrzymała ją, nie mogąc znieść sceny jednania się Polaków z Litwinami w wiekopomnej Unii lubelskiej. Ludziom i władzom bowiem wydaje się niekiedy, że z historii można wydrzeć pewne karty.

„Ostatni“ liczy pięć aktów. W Warszawie zaniechano piątego, by

nie przedłużać nadto widowiska, a także podobno ze względu, że ów piąty akt przykre wrażenia budzi. Sądząc, że ten ostatni wzgląd nie wytrzyma krytyki. W ten sposób bowiem teatry, dbając o miłą nastrój publiczności, mogłyby wstrzymywać uduszenie Desdemony przez Otella, mogłyby wywierać wpływ na Romea, by nie spieszył się z pchnięciem sztyletu w pierś, ponieważ Julia może się obudzić. Przez odjęcie piątego aktu w „Ostatnim“ osłabiona została tragiczna idea dramatu.

Utwór Rydla, najlepszy może w trylogii, składa się z oddzielnych, szeroko i z dużym rozmachem scenicznym pomyślanych obrazów. Piękna Giżanka, ludzako podobna do Barbary Radziwiłłówny, staje przed oczyma tęskniącego wciąż za ukochaną małżonką króla... Królowa Bona opuszcza Polskę, wywożąc nagro-



Lord H. KITCHENER, angielski minister wojny, mianowany wicekrólem Indyi.



LYOD GEORGE, którego inicjatywie i energii zawdzięcza Anglia przeprowadzenie projektu przysposobienia wojskowego.



Gen. CASTELNAU, mianowany naczelnym wodzem wojsk francuskich, na miejsce Joffre'a.



Gen. POLIWANOW, rosyjski minister wojny, został mianowany Generalissimem wojsk walczących przeciw państwom centralnym.



YANSCHI-KAY, prezydent Rzeczypospolitej Chiny, daży do korony cesarskiej, spotkał się wśród społeczeństwa chińskiego i w państwach sąsiednich z opozycją.

madzone bogactwa... Delegaci pańscy odmawiają Zygmuntowi Augustowi rozvodu ze zmienną Rakuszką... W Lublinie godzą się wreszcie panowie polscy i litewscy i podpisują akt Unii... Obrazy te, dość luźno związane, pozostawiają zwartej akcji scenicznej, Veronezowskiem bogactwem barw zastępują brak wewnętrznego życia poszczególnych postaci. Nawet duchowy konflikt Zygmunta Augusta wobec Giżanki, poziomej mieszczki warszawskiej, która tylko zewnętrzną powłoką przypomina ukochaną wdowę Gasztołdową, schodzi na plan drugi. Osnowę dramatu stanowi groza dziejowego momentu: Oto gaśnie ród Jagiellonów! Ostatni z świetnego rodu król schodzi bezpotomnie ze świata! Oto nastaje zmierzch wielkości i potęgi Rzeczypospolitej!...

Akt czwarty, ten, który rozgrywa się w Lublinie, wywiera najsilniejsze wrażenie. I ten akt zapewne zdecydowanie o powodzeniu „Ostatniego”.

Ale do tego powodzenia przyczyni się również niewątpliwie świetna gra p. Adwentowicza, który postać Zygmunta Augusta uczynił żywą, pogłębił i konsekwentnie rozwinął. Nareszcie utalentowany ten artysta miał sposobność przedstawić się publiczności warszawskiej w roli odpowiedniej i właściwej.

Wszystkie inne role mają charakter epizodyczny. Wszystkie znalazły doskonałych wykonawców, z pp. Lüdową i Szylinzką, Rapackim, Kotarbińskim, Bednarczykiem, Januszem, Knake-Zawadzkiem etc. na czele. Wystawa i reżyseria staranna, choć nie wybiegająca poza granice przyzwoitego szablonu. S. K.

Straty flot wojennych.

W końcu roku zeszłego „Świat” podał wykaz okrętów wojennych, które zginęły w ciągu 1914 r. tak ze strony dwuprzemierza, jak i koalicji. Obecnie podajemy także zestawienie za rok 1915,

w którym straty flot walczących przedstawiają się jak następuje.

Anglia.		Niemcy.	
Pancerniki.	tonn	Pancerniki.	tonn
Formidable	15,240	—	—
Goliath	13,160	—	—
Triumph	12,190	—	—
Majestic	15,140	—	—
Irresistible	15,250	—	—
Ocean	13,160	—	—
Krążow. pancerne:	—	Krążow. pancerne:	—
—	—	Blücher	15,800
—	—	Prinz Adalb.	9,000
Krążowniki lekkie:	—	Krążowniki lekkie:	—
Z kl. Ametyst 3,000	—	Dresden	3,650
„ Arethus 3,560	—	Undine	2,700
—	—	Bremen	3,250
Francya.	—	Turcja.	—
Pancerniki.	—	Pancerniki.	—
Beauvet	12,000	Haireddin	10,000

Krążow. pancerne: Krążowniki lekkie:
L. Gambetta 12,600 Medzie 3,200

Włochy.
Krążow. pancerne:
Amalfi 10,400
Garibaldi 7,400

Do tego dodać trzeba, że Rosya straciła Kanonierkę Siwuc czy Korejec 890 t. i krążownik minerski „Jenisej” 3000 t., Francya krążownik minerski „Casablanka” 1000 t. Poza to zaznaczyć należy straty w małych statkach wojennych: Kontrtorpedowców i torpedowców Anglia straciła około 10, Francya, Włochy, Rosya, Austrya i Niemcy po kilka; łodzi podwodnych Anglia straciła około 6, Francya, Włochy i Austrya po dwa do 4, Niemcy 2 czy 3. Krążowników pomocniczych i transportów wojskowych, które zginęły, nie rachujemy. Co się tyczy floty handlowej, to jej strat oczywiście tu nie podajemy, gdyż obliczenia nasze dotyczą tylko okrętów wojennych. Nauta.

Opieka Sanitarna IV okręgu, która z wielkim natężeniem pracy 4 dzielnice Warszawy utrzymuje w porządku.



1. Przewodniczący, inżynier Maurycy Rotmil, 2. Lekarz sanit., dr. Edward Dytel, 3. Lekarz sanit., dr. Heronim Czarkowski.



KOMITET OBYWATELSKI GM. WAWER z zarządem na czele: pp. Al. Około-Kuśak (prezes), Al. Karwowski (wice-prezes), Michał Malinowski (sekretarz), Jadwiga Geber, Karol Geber, Wacław Szancenbach, Ostojka-Chodkowski, St. Nowaczyński, Ant. Świątecki, dr. L. Domański, Teofil Kapp, Sylwester Skonieczny i Cichowski.

Komitet organizacyjny Towarzystwa „Samarytanin“.



Zarząd organizuje bezpłatne wydawanie herbaty na ulicach Warszawy.

Romain Rolland—poeta pokoju.

Już przed wojną nosił się Romain Rolland, znakomity autor „Krzysztofa“, z zamiarami wydania zbioru poezji p. t. „Era pokoju“. Z rękopisu autora dokonał przekładu kilku wierszy na niemiecki p. Aleksander Kastell i zamieścił je w „Nowym Zurychskim dzienniku“ pod tytułem „Ołtarze pokoju“. Wiersze te wywołały w artystycznym świecie niemieckim żywy oddźwięk i są szeroko komentowane. „De profundis clamans“ Romain Rolland wiele zawdzięcza niemieckiej filozofii idealistycznej a jeszcze więcej muzyce niemieckiej, której stał się we Francji najwymowniejszym rzecznikiem. Książka o Bethovenie napisana została przez niego, jako dzieło o człowieku, który służyć może za wzór twórczej inspiracji. Nic dziwnego, że jego „Ołtarze pokoju“ znalazły w Niemczech dziś właśnie zainteresowanie.

Bronisław Mansperl.

W 24 roku życia legł na polu chwały, na Wołyniu, porucznik legionów polskich, Bronisław Mansperl. Przewodził męźnie swój oddział do ataku podczas bitew listopadowych. Pogrzebano go czasowo na skraju wsi Jabłonki. Zmarły był studentem uniwersytetu paryskiego. Jako członek paryskiej filarecyi, brał czynny udział w życiu młodzieży. Wśród znajomych i przyjaciół pozostawił żal serdeczny.



Stef. Krzywoszewskiego

„Pan! Julia“ wyd. II powieść
„Edukacja Bronki“ komedia
„Rusalka”
„Aktorki”
„Dyabeł i Karczmarka”
„Rozstaje”

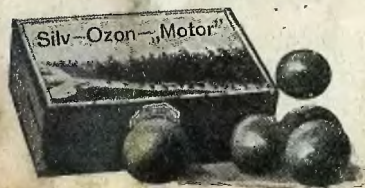
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

≡ Drukarnia ≡
Chrześcijańska **JÓZEFA MAJ**,
≡ Długa № 46, tel. 62-33. ≡

Posiada na składzie druki: **podania do sądu i plenipotencje** dla pp. adwokatów, gospodarzy i administratorów domów, oraz przyjmuje wszelkie zamówienia, w zakres drukarstwa wchodzące.

Z poważaniem **Józef Maj**.

Silv — Oson — „Motor”



w płynie i w postaci stałej w kapsułkach żelatynowych do przygotowania kąpieli balsamicznych.

KAZIMIERZ EHRENBURG

CZASY TERAŹNIEJSZE

Cena rubli 2.20, z przesyłką 2.50.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH



ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 8 stycznia 1916 roku.

Nr 2.

Ostatnia powieść Weissenhoffa („Puszcza”).

Można prowadzić oderwane dysputy na temat, czy poeci rodzą się poetami, czy też stają się nimi. Że zbędne są w wiosnie życia utarczki przedwstępne z muzami, aby w wieku dojrzałym „naginać miłośnię” formę do treści, przykładów mam nie brak. Weissenhoff, mający już dzisiaj za sobą tradycję swego wielkiego talentu, późno wszedł w szranki pisarskie. Obecnie powieść jego jest poezją o wzmagającym się promienianiu.

Należy i należeć będzie zawsze do autorów czytanych. Na dłuższą metę lubimy słuchać przede wszystkim głosu, co mówi o rzeczach, w które wierzy i które kocha. Dla pisarza, lubiącego się w swych tematach, jak Weissenhoff w dzikim pięknie „wszechlasu” litewskiego i w poezyi „gry łowieckiej” (prastarej, jak gra Erosa i Psyche i równie jak ona zapamiętałej), powstaje jedna możliwość, niebezpieczna, czy też tryumfalna, że pozostanie on kiedyś autorem jednej książki, ostatniej, którą napisze, bo z roku na rok talent jego wyposaża w bogatsze kształty wybraną treść.

W ostatniej powieści Weissenhoffa puszcza, to główna „narrationis persona”. Jest ona jakby skarbnicą wielkich tajemnic bytu na ziemi i nieświadomym przewodnikiem odwiecznej mądrości żywiołów, którą przeciwstawić można chorobliwym zabiegom cywilizacyjnym. Jej potęga i ciągłość jej zadań w życiu ogólnem przygniata wszystkich i wszystko, co nią nie jest, i tych, którzy odbiegli ku uludom chwilowym i przemijającym. Nie ludzie przeto, a ona, ta życiodajna puszcza, pociąga ku sobie wyobraźnię poety i za jej sprawą przesuwają się na kartach książki Weissenhoffa dziwy natury w opisach tak doskonałych, że wo-

bec nich błędna starsze stronicę się strzane z „Soboła i Panny”. Ku niej stare dęby „przyjaciele i sąsiady siedzib ludzkich”, kierują swe zazdrosne, a może zalotne poszmerzy ku tej puszczy, w głąb cofniętej, tajemniczej dla nie zżytego z nią bytu. Ona potrafi odpreżyć grozę „powikłanych namietności ludzkich” i napoić skołataną pierś dobrobytem. Ona może, choćby przez pieśń miłosną swych skrzydlatych mieszkańców, stworzyć i dla ludzi „formule nowej, z niczem nie porównanej rozkoszy”. I ten „Wzłowiek, niebaczny na to, że po „okresie radosnego święta życia” w puszczy następuje okres „mądrego, przywykania do śmierci”, niebaczny na to, że młkłą głuszcze na tokach i kończy się ryk łosi po lasach — ten samowolny i przeniewierczy człowiek sprawia „zgiełk i zamęt w przyrodzie” i ściągając „swe uprzedzenia wbrew jej wieczystym kanonom”.

Za sprawą puszczy mógł powstać taki nieprzejmujący typ „ochotnika”, rozmówianego w myślistwie i w poufalem a mądrym obcowaniu z naturą, jak jest Weissenhoffowski leśnik — Moroz. Ludzie prości, panicze i panienki, z którymi się styka, — wszyscy cieszą się jego względami o tyle tylko, o ile czują pociąg do „misteryjów” puszczy, o ile sprawiają wrażenie, że dla tej wielkiej czarownicy zapomnieć gotowi o wszystkim, co się z nią nie wiąże. Dla niego zaś te obcym nie dostępne tajniki puszczy i jej mieszkańców nie istnieją: „bakanie” i „tełkanie” głuszcza, wszelkie wykrety starego łajdaka-lisa z przezorną i grzeszną mordą, chytrą drapieżnego rysia, co jak liszka do drzewa się przylepi, ryk milosny łosia i jelenia, a nawet świegot szarego gminu ptasiego — wszystko to

stary Moroz rozumie i zna równie dobrze, jak najniebezpieczniejsze moczary i zasadzki swej ukochanej puszczy. I kiedy po życiu pracowniem, które spędził „służąc ojcom do rycerskich zabaw, — a nakłaniając synów do trwania przy ojcowiźnie”, już więcej „zdolać” nie może i czas mu umierać, wtedy jeszcze w wizyi przedśmiertnej wydaje mu się, że jego Morozowa dusza gra w jakimś śmiertelnym głuszczu, co na krzyżu usiadł, pławiąc się w świetle księżyca:

„A głuszc-poganiń śpiewał
„tylko o radości życia w wybuchu
„wiosny i w zachwycie kochania.
„Choć wziął w siebie ludzką duszę,
„nie pamiętał nauk o życiu
„zaziemskim; wielbił tylko chwilę
„rozkoszy, zapominał o jej następstwach.
„A może przeczuwał,
„że wlek człowieka, czy ptaka, nie
„przepada dla wszechżycia — i
„czekał odważnie szczytnej chwili
„umierania, chwili przemiany”.

A las szumiał dalej, tak jak niegdyś dla panny z sobolem, „na cześć dzikiego życia”, na cześć wolnej wędrowki wiatru. W nim jest „wieczność zadumy nad sprawami ważnemi, jak wschód i zachód, ciepło i zimno, głód i pożywienie, dobór-milosny mar młodości i śmierć słabszych dla odrodzenia się w silniejszych tworcach”. On śpiewa pieśń zapomnienia i ukojenia, i z tej melopei leśnej wykwita jakieś „nienazwane pokrewieństwo” pomiędzy człowiekiem-poetą a resztą przyrody. W ten sposób stać się może, że postacie i opisy poety żyją niezawodną siłą i pięknem życia. Tak pod technieniem boskiej Anadyomeny ożyła wykochana przez Pigmaliona marmurowa Galatea.

Puszcza nie tylko ku sobie ciągnie: między ludźmi, którzy ją zrozumieć i czarowi jej ulegli, wytwarza związki tak silne, że i wszechwładna Cypryda, przez Erosa sekundowana, nie mogłaby przemyślnie marzyć o

większych tryumfach społenia. Ludzie ci, pokolenie filiputów, troszczących się o sprawy nikłe, obchodzą Weyssenhoffa pod warunkiem, że odezwą się w nich znowu „zdrowe prawieczne popędy“, że ogarnie ich „dzika i dobroczynna swa mocą“ i do siebie przykuje ziemia-puszcza. Ona zwabiła ku sobie znarowionego młodego chłopaka, który gdzieś, po za wioską ojcowską, pędził „osłectwo“ młodości i gorzkie pocałunki kobiety pierwszym rozklekotaniem nerwowem przypłacił. „Bestya kobieca“ o stylizowanej rozkoszy była niebezpieczna przez „ogień, który zdawał się ją trawić wewnątrz, a błyskać przez oczy, przez zęby, węglic się na włosach, różowieć na wypukłościach, śniedzieć na zakłęśnięciach...“ Lecz syrena kosmopolityczna spotkała dwie silniejsze od siebie przeciwniczki: rozmiłował się młodzik

i w puszczy dziedzicznej i w panience ze dworu nadpuszczańskiego. Panienka była z tego typu kobiet, które są „szczęśliwie urodzone“, niezależnie od tego, kto je rodzi. Że wśród polek częściej, niż wśród obcych, spotkać można taką „piękność szczęśliwie urodzoną“, która dać może „pewność szczęścia, pomoc i pogodę w życiu“, wiemy wszyscy. Lecz Weyssenhoff, pod wpływem „wielkiej mistrzyni-prostoty“, szczególnie powabnie kształtuje te jasne postacie kobiece i po Warszulce z „Sobola i Panny“ wysubtelizował Renię z „Puszczy“, — mleczne siostry z chaty i ze dworu. Każda z nich pocałunek grzechem nazywa i każda mogłaby być „towarzyszką dnia i ozdobą nocy“, — i mogłaby dać szczęście człowiekowi kochanemu. Panience z chaty nie poszczęściło się i sprawę wygrał jeśli nie so-

ból, to w każdym razie zdradliwy zmysł użycia, co anęczyźnie ku nim i nimfeczkom (z pocztu Dyany) w zarośla kieruje. Warszulka przez niekochanego Trembela stanie się matką dumnego rodu chłopskiego, a panienka ze dworu dostała swego kochającego i kochanego panicza i poszła z nim na dobrą dole „w blasku swej szczerzej piękności i w powadze czystej duszy“.

Zakochani Weyssenhoffa są, więcej jeszcze, niż inni, w stanie laski — otworzyli oczy na wielką prawdę życia i zauważyli rzeczy, które widzą tylko wybrani. Wątpić nie mogą w to, co ich zachwyca, ani w cel upragniony. Spokój i pogoda jest treścią właściwą tęsknoty ludzkiej i dlatego uśmiechnięty epikureizm Weyssenhoffa zawsze na zwolenników liczyć może.

August Popławski.

JÓZEF JANKOWSKI.

Poległym cześć!

(WIOSNA 1915).

Jeżeli czczą was, bohaterzy,
Tam w szale walki, w krwi ukropie,
Gdzie dusza na niepomyślnym tropie,
I w ogniu swej żywiołnej sfery
Goni okrutnej szlak chimery:
To jakże uczcić ciebie, szczerzy
I duchem twardy, polski chłopie,
Za twoje trzeźwe bohaterstwo,
Za twoją duszę pomną, czerstwą,
I za śmierć twoją przy okopie
Ziemii twej — w pracy rąk twych cichej,
Mierzacej w rolę płodne sztychy?...

Armatą twoją był ci pług,
A wodzem twoim — Bóg, —
A zawołaniem twoim — serce,
W krwawej pławiące się rozterce,
Że nieuprawna pod kulami
Ta matka, którą wróg ci plami, —
A czynem twoim — wyjście światem
Na rolę — z sercem tem — z granitem
Obowiązkowej twojej toni —
I śmierć tam — z plugiem w dłoni.

Leżysz tam w niej dziś, gospodarzu,
Jako święcona rzecz w ołtarzu, —
Jako miłości wyraz tklivej,
Leżysz tam godny, sprawiedliwy,
I dzisiaj jeszcze kości mi swemi
Bronisz jej — syn tej ziemi.

Nie spadnie na cię, mój bezcenny
Chłopie, wojennej krzyż zasługi,
Imienia twego w chwalebne długiej
Rycerski poczet nie rozdzwoni —
I nie wymieni rozkaz dzienny
Ni czynu, ni twej broni.

Ale o tobie wieść już w niebo
Krwia poszła z rozplakaną glebą,
Ale na grób twój bezimienny
Droższa od chwały szumnej grodu,
Droższa od kruszców tego świata,
Cicha upadnie łza narodu —
I w twą mogiłę zakolata
Poeta lutnią — zbudzi cienie
I najlepszego w tobie brata
Uczci w swym śpiewnym trenie.

Rankiem Mateusz Cichoń z chaty
Wyszedł na szarość dnia poświaty —
I wraz do pluga wprzągł chudzinę
Szkapę — z dobytku dziś jedyne
Dobro do pracy i ratunku
Po rekwizycjach i rabunku.

Wyjechał z płotków — pojrzał wzrokiem
I znów mu serce krwawym mrokiem
Zaszło bezradnie, — Dookoła,
Jak tylko oko sięgnąć zdoła,
Miast dawnej krasy, krasy siola,
Step głuchy, zgłiszczca i perzyna,
Jak jakichś strasznych mar kraina,
Ziemia wskrós zryta okopami —
Pustka — nic głosem nie zamami —
Lasek poblizki w strzepach leży —
Kościołek wdał zmiłki — bez wieży,
A z wiosek wkolo we mgłę sinej
Sterczą upiornem złem kominy.

Jakże tu patrzeć sercem krwawem,
Gdy ból, jak nożem ostrym struga?
Odżonał chyłkiem łzę rekawem,
Scisnął rękojeść mocniej pluga
I już nie patrząc, ruszył w pole.

Od drogi wbił żelezce w rolę.

I oto wraz pod sprawnym pługiem
Ziemia, czekaniem zżarta długiem,
Z prawej mu strony odwalila
Zraz tęgi — i już w bryłę bryła
I plaster w plaster skiba rada,
Jak służebnica się rozkłada —
A jako oddech wolny tona,
Tak osypuje się wzruszona.

Wionął od ziemi zapach żyzny
Wilgotnej mocnej surowizny —
I zaraz chłopu, jak w kościele
Miech organowy na wesele,
Pierś wzrosła w pasy uroczystej;
Więc głębiej jeszcze pług kończysty
Zamurzył w pokład tłusty, gruby,
Jakgdyby z nią zawierał ślub
I „moja-ś” szeptał w drżące lubej —
I już też ku niej tchnieć nawała
Ognistą przypadł władnie, śmiało.

Pulchni się rola, tchem się parzy,
A ziemia mu pod pługiem gwarzy:

— Nie trap się, chłopie! Póki Boga
Na niebie, póki mnie i ciebie
Na ziemi, zbędna żywym trwoga —
Żadna nas siła nie pogrzebie.

Z perzyny, która mnie wyściela,
Nowego życia wszedł dzieła, —
Z krwi, która mnie tak suto zrasza,
Wyrośnie, chłopie, wolność nasza.

Znów zazieleni się nam błonie,
Zakwitną grusze i jabłonie,
I zabieleje w słońcu ściana:
Powstanie Polska murowana.

Przez duże okna światło wpłynie,
Obrazy święte i twe skrzynie
Już nowym blaskiem swym poproszy —
I światło wpłynie do twojej duszy.

Koleją ładu, ochędóstwa,
Dźwigniesz się z dołu i z ubóstwa,
Miodami zalśni twa pasieka,
Odnajdziesz godność swą — człowieka.

Po szczeblach pójdziesz wzwyż oświaty
Na narodowej myśli czaty,
Powstaną z ciebie wojewody
Na życia trud, na życia gody.

Duszę zachowasz swą piastową,
Ale w nią włożysz sprężność nową —
I będziesz chodził w zacnych radzie
Sprawiedliwości ku zasadzie.

Nie trap się, chłopie! Przez ofiary
Idzie zmartwychwstań dzień już jary:
Szczęśliw, kto krwią i trudem łoży
Na przyspieszenie wolnej zorzy.

„Abo i prawda!” — chłop dopowie
Ciepłych swych uczuć mglistej mowie:
„Mocny ci wróg ten i najmściwszy —
Ale Pan Jezus miłościwszy.
Wio, siwy!”

Rychle szlak ze szlakiem,
Już w przeoraniu siedmiorakiem
Spulchniony razem, od szarżyzny
Odciał się warstwą gleby żyznej —
I już z stron obu obrzeżony
Brózdami głębiej (dla ochrony
Od deszczów), w bryłkach rozestany,
Zagon na schwał uszykowany:

Niby pościółka pulchna, świeża
Wiecznego rolnych spraw przymierza:
Pościółka, lube powołanie,
Nadziejom słodkim na schowanie
I obsiewkowi na wzrastanie.

Rźnie pług nawrotem, A tymczasem
I promieniste ponad lasem
Słońce ognistą swoją bryłą
Już się jarzące wytoczyło.

Idzie niezłomne swoją drogą,
Tak chłopu świecąc zapomoga:

„Ty skibę swoją tam na ziemi
Orzesz, a tutaj na przestworze
Niebieskim ja też skibę orze
Wółkami memi promiennymi.

Obacz no, czyli kiedy chybię:
Czy pokój ścięło się mej skibie,
Czy chmury groźne przeciw staną,
Ja ciągle pełnię, co kazano.

Czyli na ziemi krwią, zawieją,
Żywiły wzniecą się, szaleją,
Ja, choć-em król, wciąż w służbie chodzę,
Ani przystanę na mej drodze.

I ty za światłem chodź w mozołę,
A duszą całą grzej swą rolę:
Wynijdziesz wiarę z życia nocy
I będziesz plużył, jak ja, w mocy”.

Serce już w chłopie zorzą złotą
Rozłśnione... Wzniesie wzrok, a oto:
Skowroneczek ku niebu w górze polatuje
I garleczkiem krzykliwym wdzięcznie przepieruje: *)

„Świt, świt, świt, świt — ode stropu
Świegocący wieści chłopu —
I ja rolnik: w nieba toni
Skibka moja piosnkę roni —
Trudy twoje, krwawą rosę
Panu Bogu przed tron niosę —
Pan Bóg w księdze swej je pisze
Na twe gody, na twą ciszę —
Po dniach nocy i zamieci
Świt, świt świetny ci rozświeci”.

I już w nieba utonął lśnieniami niewidzialny,
Świegocącym dzwoneczkiem — ledwo dosłyszalny.

Dokończenie nastąpi.

*) Dwa te wiersze — z Sielanki (103) Szymona Szymonowicza (1557—1629).

Dzieje jednego pocisku.

21

Przez sporą chwilę jeszcze było w izbie cicho po tem czytaniu. Przez sporą chwilę trwali ludzie w skupionem milczeniu, jakgdyby chcieli uczcić poległego towarzysza, którego głos przyszedł do nich z za grobu, z tamtego świata.

Pierwszy Knoblak westchnął ciężko i odezwał się głosem wzruszonym:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie... A światłość wieki sta miechaj mu świeci... Niechże ta bomba ozerwie na znak, kogo należy, za tę jego śmierć niewinną!

Tymczasem na progu ciemnej izby stanął gruby, nieduży człek i wolnusiętko, jakby się skradając, szedł do stołu. Stawał, przyglądał się, przygarbiony, zaczajony, oczy sobie od blasku lampki osłaniał — a nikt nie mógł wyrozumieć, o co tu idzie.

— Walek? Cóż ty takiego wyrabiasz?

Ale chłop w jednej chwili rzucił się na Knoblaka, obalił go razem ze stołkiem, ucałił za ramiona i zaczął tłuc łbem o podłogę, aż się rozległo.

Oderwali go wreszcie. Powypadali wszyscy z drugiej izby i wszyscy razem zaczęli gadać. Figiszewski zbliadł i wstał na równe nogi. Zdawało mu się, jakby coś zaczynał rozumieć.

Każdy od siebie pytał. Walka i ciągnął go do siebie. Chłop nic nie gadał, bo nie mógł wydusić ze siebie słowa, tak był wzburzony. Wreszcie rzucił się z nową zapalczywością na powalonego i w nieludzki sposób dał mu jeszcze dwa razy z rozmachu po głbie. Oderwali go znowu. Wreszcie chłop się opamiętał i zaczął krzyczeć:

— Ten sam jest! To on był z żandarmami u nas w Sierbienicach! On prowadził, on pokazywał! Tego Kieleż Woitka on wydał! To on mu naboje sprzedawał na jarmarku w Smiglu! Śmierć szpiegowi, judaszowi! Już on stąd żywy nie wyjdzie! A ty jego współnik! — ryknął, rzucając na Figiszewskiego.

Ale już dwóch ludzi trzymało pod pachy delegata „Pięciu mężczyzn“, a przed nim stał Weszycki i mówił spokojnie.

— Stój no, draniu, i pary z ust nie puść, póki nie zacznę pytać. Związać mu ręce! Idź który przed chałupę i pilnuj, żeby kto nie patrzył w okna. Chodź tu, Walek, i gadaj, czy ci się zdaje, czy też jesteś pewny swego, bo o życie dwóch ludzi się rozchodzi!

— On jest. Na głbie miał maskarę, tylko oczy było widać. Jak

do nas do chałupy z rewizją przyszły, maska mu się obsunęła na tę jedną chwilę i zobaczyłem go dobrze! Poznaje go. Świadcze się Trójcą świętą i Najświętszym Sakramentem i jako jestem socyalista! Dwa razy ja go w życiu widziałem, ale teraz to już po raz trzeci i ostatni!

— Dajcież i mnie powiedzieć słowo, panowie — zaczął Figiszewski.

— Milcz! Czekaj!

— Tego drugiego drania ja nie znam i na oczy nie widziałem. Niech on się wytłómaczy, poci się wdaje ze szpiclem? Jeżeli on i z nim do nas na prowokację z bombą przyjechały...

— Jutro tu do nas przyjadą z rewizją i na stryk...

— Judasze! Na nas nie zarobicie!

— Żaden stąd żywy nie wyjdzie...

— Zle was na ten handel pokusiło...

— Przyszła wasza godzina...

Z trudem udało się Weszyckiemu zaprowadzić jaki-taki ład. Wreszcie obłano szpicla wodą, usadzono go w kącie na ziemi i wsparto o ścianę. Leżał wciąż z zamkniętymi oczami i dychał ciężko. Figiszewski stał w drugim kącie z rękami związanymi na tyle. Zaczął się sąd.

Figiszewski odpowiadał spokojnym głosem i z godnością.

— Kto ja jestem? Z bandą szlammowiecką jestem stowarzyszony. Nigdy się w politykę nie wdawałem. U nas surowo pilnowano, żeby z partiami nie zadzierać. My mieli swoje interesy. Z bogatych okup my brali. Naczelnik powiatu nam płaci, naczelnik żandarmski płaci, kapitan płaci, rejent i doktor płaci. Płacią dziedzice w okolicy raz w miesiącu. Wszystkie żydy, kupcy też i sam rabin płaci.

— Zaco płaci?

— Za ochronę od bandytów, czyli od nas samych, prawdę powiedziawszy. Ale przy nas na gościńcach jest spokój. Żadnego my chłopca ani ubogiego nie ukrzywdzili. Bogatych my podbieramy, bo takie mamy przekonanie, a krw. ludzkiej na nas ani też na moich rękach przez całe życie nie było.

— Skąd masz list?

— Z Warszawy żydy przysłały, a skąd oni go wzięli, nie wiem. Tę bafię z bombą my wykopał; z tego miejsca i chciałem zarobić. Żydowska komuna z Warszawy nam dawała tylko dwadzieścia pięć rubli.

— Gadałeś, że pięćdziesiąt.

— Lgałem, jak przy handlu!

— Tego psa dawno znasz?

— Znam go od dwóch lat, a ani razu tego na niego nie pomyślałem. Złodziej był, to nam było wiadomo, ale on chodził osobno po jarmarkach, po odpustach między chłopami. Proszę panów, my tu wszystko wokół na pięć mil znamy. Ale tego, że tu są szpicle, my nie wiedzieli, bo na polityczne rzeczy my nie zważali nigdy. A poci ja jego na moje nie-szczęście tu ze sobą zabrałem? Bom nie wiedział, jak z wami, partyjnemi gadać, nigdy nie mając z partją do czynienia, a jego my uważali, że jest albo i też bywał w jakiejś partyi, zanim tu przyjechał. Więcej nic nie wiem, ani nie mam do powiedzenia. Macie mnie w rękach. Ale ja wam powiadam, jakim był koniokrada i jakim jest bandyta — tej podłości ja nie winię!

— Kiedyś ty mu powiedział o bombie? Dawno?

— Tu w drodze mu powiedziałem, żeby przy targu pomagał.

— Ej, nie łżyj człowieku, ej, nie łżyj! Daleko sięga nasza partya i długo ona pamięta!

— Zgubisz nas — ale i ciebie nie minie i tych tam twoich!

— Dyabli was tu wezmą co do nogi, jak nas zgubicie. Przysła partya bojowców, co żadnemu nie darują, żebyście na koniec świata pojechali, żebyście się pod ziemię zagrzebali!

Było już koło północy, kiedy Figiszewski i Knoblak wyjeżdżali z cukrowni. Jechali długo w milczeniu, aż spytał Figiszewski.

— Co, żyjesz, bracie?

— Ja sam nie wiem! Coś ty im takiego powiedział, że mnie żywego puścili?

— Ja? To moja rzecz. Mam ja na każdego człowieka swój sposób.

— Gdzieś ty z nim chodził i coście tam gadali tak długo? Przez te półtóry godziny ja wciąż umierałem i ożywałem i znowu umierałem. O, Boże miłosierny! Cóżście gadali, powiadajcie, bo we mnie wszystko się trzęsie.

— O polityce my gadali. Ja ich przekonywałem, żeby komunę założyli bandycką, a oni, żeby przystąpił do nich.

— Ty łpisz, a ja ze strachu umieram!

— I czegoż się teraz łboisz?

— Oni tu gdzie jeszcze na mnie napadną! Ratuj mnie, bracie! Aj, aj, tyś się z nimi zmówił!

Figiszewski się śmiał na całe gardło i zaczął konie.

— Głupiś ty! Ja ich przekonywałem, żeś niewinien! Rozumiesz? Przecie ty niewinien? Prawda? Poci się głupi przyznał? To nie ty wydałeś tego ich bojowca?

— Słuchaj, nie mów tak, bo ja zwaryuję. Nie goń tak, złituj się, bo mi ta rozbita głowa całkiem pęknie...

Figiszewski się śmiał.

— Knoblak, patrz że tam dale-

ko, widzisz las? Będzie jeszcze z pięć wiorst. Ja sobie myślę, że chyba oni tymczasem naprzód pojechali i tutaj cię zrobili, żeby nie było koło samej cukrowni. Chytre to ścierwy... Żal mi cię, Knoblak, któż za ciebie będzie na jarmarkach o generale Kurowskim opowiadał? A zawsze źleś sobie postąpił, żeś mnie w takie sprawy zamieszał. Mogliby, jakby byli mądrzy, obu nas utrupić. Tobie się należy, ale zaco mnie? Ej, nie minie cię kara za to...

— Puść mnie, ja sobie już pójde. Mnie będzie lepiej samemu. Głowa mnie boli od trzęsienia. Stańcie, Figiszewski, bracie kochany, już ja was proszę...

— Co, tobie już ze łba rozum uciek? Dziurę ci wybili? Co ty mnie, głupi, po rękach całujesz? Ja nie ksiądz.

— Ja wam bardzo dziękuję, jak samemu Panu Bogu...

— No, no, niema zaco!

— ...I ja się tak boję, oj, jak ja się boję!

— Już nic się nie bój, sprawa załatwiona na fest!

— Ja nie mogę wziąć tego na wiarę, że oni mnie puścili żywego... Pewnie mnie będą jeszcze prześladować, ale mnie mój naczelnik obroni.

— Żeby cię ino twój naczelnik przy tej obronie nie nakrył... Powiem ci prawdę, czemu cię puścili. Dziś u nich wielkie święto, takiego największego patrona, tego dnia nakazane u nich każdemu przebaczyć.

— Ej, nie kpicież! Jakiego to u nich dzisiaj patrona?

— Świętego Brauninga... Wielki dziś odpust u socjalistów!

Knoblak umilkł. Jechali jeszcze z pół godziny, aż Figiszewski przystanął.

— To jest granica powiatu! Wiesz słup?

— Widzę — ale poco?

— No, to wysiadaj!

— Poco? Ja pobity, ruszyć się nie mogę...

Knoblak trzymał się oburącz półgrabka i dziko patrzył w las, gdzie zdawało się coś poruszać. Nagle zarżał pod lasem o jakie trzy stajania obcy koń.

— Bracie ratuj! Bracie rodzony, ruszajmy!

— Ej, Knoblak, lepiej ci było uczciwie kraść chłopów na jarmarkach a nie mieszać się do polityki. Polityka zdradna rzecz! Złaź, złaź, bracie — jużesmy zajechali na miejsce. Stąd będziesz miał do nieba ino dwa kroki. Do widzenia na tantym świecie! Straciłem przez ciebie sto rubli i głowy bez potrzeby madstawiałem. Wynoś się, bracie, przecieżem ci mówił, że oni tu na ciebie czekają. Toś ty sobie, głupi, myślał, że partyjni taką rzecz tobie darują?

Figiszewski gwizdnął na palcach po zbójce i czarne postacie ludzkie stanęły przy wozie. Knoblak raz tylko zdążył wrzasnąć, bo zatkali mu

gębę, okrecili mu łeb workiem, ściągali z wozu i powlekli w czarny las.

Figiszewski zaciął konie i popędził, aż koła warczały. Gnał tak z godzinę, nie oszczędzając koni, i poprzysięgał sobie raz na zawsze trzymać się od partyi zdaleka, jak od morowej zarazy.

Nie pomogło mu to jednak. W kilka dni potem zaaresztowano jego i szwagra i Symchę Sztera i jeszcze innych sześciu członków organizacji „Pięciu mężnych“. W jednej chwili przysł czar, otaczający potężną bandę. Wszyscy się zdumieli, że mogli tak długo znosić bezprzykładny ucisk. Wszyscy uradowali się w sercach swoich i wynosili pod niebiosa energię prawowitej władzy, która narazie ocknęła się do czynu. Załował bandytów tylko jeden pan Szuba, dzierżawca z Zabiej Woli. Męczehska śmierć skromnego, ale wiernego sługi tromu była momentem zwrotnym w dziejach powiatu. Ustał uciążliwy i upokarzający podatek, nowy naczelnik straży ziemskiej w porozumieniu z dowódcą siły zbrojnej rozsyłał patrole po całym powiecie, a w okolicy zaczęły się na dobre rozboje po drogach i napady na dwory.

Weszycki, przyjechawszy wieczorem do Warszawy, stanął u swojego wuja, sklepikarza na Starem Mieście, i rozpytywał o nowiny. Wuj niewiele gadał, bo był zajęty rachunkami. Twierdził jednak, że rewolucja już się skończyła i ani się tem nie martwił, ani się z tego nie cieszył.

— Co jest, to jest. Jak ma być, to i będzie. Tu żaden człowiek nie poradzi, ani żadna partya. Samo wszystko na świecie idzie. Nie wiem, jak ci, chłopcze, radzić. Moja rada — żebyś się tu trochę zabawił, do teatru sobie poszedł, do cyrku, z tą dziewczyną się zabaw, byle ze zdrową, i zwracaj do domu, pókiś cały. Będiesz się zanadto kręcił, wezmą cię na ulicy...

— Zaco? Ja tu nieznajomy?

— Zaco? Za nic, za samą twoją minę.

— Co słyhać u Józka — mieszka tam, gdzie dawniej?

— Przeniósł się do Ratusza, a stamtąd się wymeldował do fortów!

— Zaco? Przecie on nigdy do niczego nie należał.

— Za to właśnie siedzi, że nie należał. Jednego biorą za to, że był w partyi, a drugiego za to, że nie był. Taka teraz moda.

— A u ciotki Robaczkowej zdrowi wszyscy?

— Zdrowi są, tylko Karolek siedzi na Pawiaku a Wladek w Brześciu.

— To nowina? Takie urwisy, a jednak widać coś tam w cichości robili...

— To robili, co zawsze: Karo-

lek latał za dziwkami, a Wladek się zgrywał. Teraz i za to biorą do uła.

— No, to i wuj chyba wezmą za to, że wuj handluje?

— Wezmą, ale jeszcze nie zaraz. Teraz wybierają innych kupców: mydlarzy, powoźników — do spożywczych jeszcze nie doszli. We wszystkim jest swój porządek!

Od samego rana puścił się Weszycki na miasto. O godzinie dziewiątej już był w pewnym sklepie na Złotej, spytał o „pana Kazimierza“ i wymienił umówione hasło: „czy pani Wojdalińska już powróciła z letniego mieszkania“?

Pan Kazimierz, mizerny, mały człowieczek, spojrzał nań zmęczonymi oczami, uśmiechnął się ironicznie i zapytał:

— Co to ma znaczyć?

— Wy jesteście „Pan Kazimierz“?

— Tak mi jest na imię...

— A więc ja się was pytam: „czy pani Wojdalińska już przyjechała z letniego mieszkania“?

— Już to pan raz powiedział. Nie znam żadnej pani Wojdalińskiej, ale przypuszczam, że chyba nawet i ona wróciła już z letniego mieszkania — przecie to marzec... O co panu właściwie idzie?

— Przecie to u was pod-biuro?

— „Podbiuro“? Co to takiego?

— Wy jesteście „pan Kazimierz“?

— Ja jestem, do wszystkich dyabłów, ale już nim przestałem być od pięciu miesięcy. To wszystko, co mogę powiedzieć.

— Jakto?

— A tak!

— Odłóżcie kpiny na potem, ale ja dzisiaj muszę się widzieć z kimś z „wydziału“.

— Nic a nic nie rozumiem, proszę mi raz dać święty spokój!

— Uważam, że tu coś zmienili i wy mi nie wierzycie. Ja to rozumiem, ale zwaźcież i wy moje położenie: ja zdaleka, z prowincyi i z ważnym interesem. Z bardzo ważnym! Nie mam żadnego adresu...

— Ja na to nic nie pomogę, bo nic a nic nie rozumiem...

— Dajcież mi choć kogo jednego...

— Niech się szanowny pan uda do pani Wojdalińskiej. Upewniam pana, że już wróciła z letniego mieszkania.

Weszycki stał wściekły i strapiiony.

— Choćby pan tu stał do samego wieczora — zaczął spokojnie pan Kazimierz, ale Weszycki zaklął i trzasnął drzwiami za sobą.

Dalszy ciąg nastąpi.



Algebra państwa Anastazostwa.

W zbożnej jednomyślności uradziło państwo Anastazostwo Korabowie, że tego roku — to jest drugiego okropnej wojny a 1915-go od Narodzenia Chrystusa — gwiazdki urządzać nie będą!

„Jeszcze, podczas Wielkiej Nocy... czasy były trochę lepsze... (jakkolwiek, pieniędzy było trochę więcej, panie dobrodziej!) nie dziw więc, że się święcone jakie-takie wyprawilo... ale co do gwiazdki, to stanowczo obejść się bez niej w tym roku musimy!” — zawyrokował pan Anastazy, a pani Zenobia gorąco ten wyrok poparła.

— Zresztą — dodała — z czego by tu co urządzić, gdzie co kupić, kiedy nikąd nic nie sprowadzą i po sklepach będą zupełnie pustki.

— A choćby nawet i po sklepach pustek nie było, to będą one w kieszeniach! — dodał ze swej strony pan Anastazy.

Na dziesięć dni przed świętami pani Anastazy wróciła z miasta na obiad silnie wzburzona.

— Nigdybym nie sądziła, że na wystawach będzie tego roku tyle bakali i pierników i — — —

— I win — dyskretnie wtrącił pan Anastazy...

— Po chwili zaś dodał:

— Cóż, kiedy świąt tego roku nikt urządzać nie będzie...

— Zapewne — lekliwie poparła pani Zenobia — chociaż, właściwie mówiąc, i kupcy przecież z czegoś żyć muszą — — — — — dodała po chwili...

Nazajutrz, pan Anastazy, z kolei, wrócił na obiad wzburzony.

— Wyobraź sobie, mam już dwa zaproszenia na śledzia przedwigilijnego i jedno na bridge'a w drugi dzień świąt...

— Trudno, będziemy i my musieli przyjąć, choćby w trzecie święto, bo na pierwsze, właśnie miałam ci powiedzieć, proszą nas do siebie — — — zareplikowała spieszenie pani Zenobia...

Zbożnie westchnawszy, zdecydowali państwo Korabowie, że gwiazdka będzie w ich domu obchodzona tego roku, lubo bardzo skromnie...

Podobne wahania poprzedzały i uroczystość sylwestrową, poczem tak samo zdecydowano, że stary rok „będzie się zakończyć” w ich domu, lubo, ma się rozumieć, również bardzo skromnie...

W kwintessencji, skończyło się na tem, że nietylko wigilia była z rybami i winem, ale i z choinką dla dzieci, i z prezentami dla najbliższych, w nowy rok zaś były, jako i co roku, wizyty, poczęstunki i nawet kwiaty dla przyjaciół i życziwych. I partyjka, i teatr, i fixe w rodzinie... Do Trzech Króli zbiegło — jak z bicia trzask! Pan Anastazy przez bitych dwa tygodnie nie rozstawał się z pugilaresem, portmonetki zaś zgół z ręki nie wypuszczał!

Dopiero wieczorem dnia tego, gdy już ostatni goście świąteczni się porozchodzili, zasiadł przy biurku, i przywoławszy uroczystie panią Zenobię, zabrał się do czynienia obywatelskiego rachunku sumienia.

I nie czekając na poparcie i zachętę ze strony pani Anastazowej, pierwszy wyrwał stronicę z bloku i zaczął wypisywać:

Zamiast gwiazdki w r. okropnym 1915 Anastazostwo K, dla najuboższych — rb. 30.

Zamiast prezentów w rodzinie i choinki dla dziatwy A. Korabowie na powszechne nauczanie — rb. 30.

Zamiast pożegnania okrutnego roku 1915 Anastazy i Zenobia K, na najuboższych rb. 30.

Pani Anastazowa gorącym pocałunkiem przyklasnęła obywatelskiej myśli męża — poczem zbożnie udała się na spoczynek.

Mąż zaś, gdy miał już kłaść do koperty szeleszczący nervus uczynionej ofiary, dokonał był jeszcze pewnych poprawek. A więc: w rubryce pierwszej cyfrę 30 przerobił na 20, zaś w drugiej i trzeciej — na piętnaście.

— Będą mieli dosyć — rzekł do siebie...

Natomiast, uzyskaną tą drogą ekonomizację przeznaczył całkowicie na utworzenie mowej pozycji — najkapitałniejszej!

„Zamiast tradycyjnego śledzia w gronie przyjaciół w r. nieszczęsnym 1915 A. K, na głodnych rb. 40”.

Poczem, zakopertowawszy ofiary dobroczynne, wziął się w dalszym ciągu do pracy dla siebie samego. Jakoż, po kilku chwilach, na mowej stroniczce bloku

wyrosła rubryka nie lada-jaka cyfr nie mniej pouczających:

Koszty gwiazdki 1915. . . rb. 105

„ zakończenia tegoż r. rb. 75

Razem. . . rb. 180

Co łącznie z ofiarami, czyli w sumie ogólnej — 270 rb. Wyraźnie: rubli dwieście siedemdziesiąt!

I kopiejek dwadzieścia pięć — dopisał jeszcze po chwili, dołączając w myśli koszt ekspedycji do Kuryerka (przez zaufanego posłańca) koperty dobroczynnej...

Nazajutrz, pierwsza rzecz, udziela p. Anastazy małżonce wiadomości co do uzyskanej cyfry, poczem zapytuje ze szczerą sensacją:

— Powiedz, duszko, skąd ja, panie dobrodziej, wziąłem tyle pieniędzy w roku okropnym 1915-m?

— Rzeczywiście — powtarza jak echo pani Anastazowa — skąd myśmy w tym okropnym roku wzięli tyle pieniędzy?... — Fakt przecież, żeśmy tyle wydali!

Cyfry są nieomyłne!

Pani Zenobia nagle błyska myśl rozświetlająca:

— A możeś, mężusiu, za dużo dał na cele dobroczynne?

B. Górczyński.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

B A K.

2

POWIEŚĆ.

Montanelli odwrócił się i popatrzył w gęsty zmierzch magnoliowych gałęzi. Było tak ciemno, że postać jego przybrała jakieś widmowe zarysy w tej pomroce.

— A potem? — zapytał zwolna.

— Potem mama umarła. Ostatnie trzy noce spędziłem przy niej.

Umilkł na chwilę, ale Montanelli nie poruszył się.

— Przez te dwa dni, zanim ją pochowali — ciągnął dalej Artur znużonym głosem — nie mogłem myśleć o niczem. A po pogrzebie rozchorowałem się, jak ci wiadomo, ojczu, i nie mogłem się spowiadać.

— Tak, pamiętam.

— Raz, w nocy wstałem i poszedłem do pokoju matki. Pusty był; tylko wielki krucyfik stał w al-kowie. Pomyślałem wtedy, że może Pan Bóg mnie wysłucha i oświeci. Ukląknąłem i czekałem — noc cała. A rano, gdym odzyskał przytomność — Padre, ja tego wytłumaczyć nie mogę. Nie potrafię opowiedzieć, co widziałem, sam dobrze nie zdaję sobie z tego sprawy, ale wiem, że Bóg odpowiedział mi, że nie śmiałem Mu się sprzeciwić.

Przez chwilę siedzieli obaj milczący w ciemności; poczem Montanelli położył rękę na ramieniu Artura.

— Synu mój — rzekł — Boże uchoł, bym ci miał przeczytać, że Wszchemocny przemówił do duszy

twojej. Ale pamiętaj, w jakim byłeś nastroju owej nocy i nie bierz złudzeń żalu lub choroby za Jego najświętsze wezwanie. A jeżeli istotnie podobało się Najwyższemu odpowiedzieć ci z pośród cieniów śmierci, bacz, byś błędnie słów Jego nie tłómaczył sobie. Powiedz mi, co czujesz, co chcesz uczynić?

Artur wstał i odpowiedział zwolna, jakgdyby powtarzając wyuczone słowa:

— Oddać życie za Włochy; dopomódz im do oswobodzenia się, by mogły stać się wolną republiką, nie mającą nad sobą żadnego innego króla, prócz Chrystusa.

— Arturze, pomyśl, co mówisz. Wszak ty nawet włochem nie jesteś!

— To nic nie znaczy; jestem sobą. Widziałem, słyszałem i droga moja wytknięta na życie i śmierć.

Znowu zapadło milczenie.

— Mówiłeś przed chwilą o tem, coby Chrystus powiedział — zaczął Montanelli zwolna, ale Artur przerwał mu:

— Chrystus powiedział: „Kto położy życie dla miłości Mojej, odnajdzie je”.

Montanelli oparł się o drzewo i ręką oczy przysłonił.

— Usiądź na chwilę, mój synu — rzekł wreszcie.

Artur usiadł, a ksiądz ujął obie jego ręce w swoje dłonie.

— Nie mogę argumentować dziś

z tobą — rzekł — spadło to na mnie tak nagle, muszę nad tem pomyśleć, rozważyć... Później porozmawiamy o tem obszernie i wyczerpująco. Teraz, pamiętaj tylko o jednym, proszę cię. Jeżeli spadnie stąd na ciebie nie-szczęście... jeżeli zginiysz... roz-drzesz mi duszę...

— Padre!

— Nie; daj mi skończyć. Powie-działem ci kiedyś, że na całym świecie nie mam nikogo prócz ciebie. Są-dzę, że nie rozumiesz dokładnie, co to znaczy. Młodość nigdy tego nie rozumie; i ja w twoim wieku nie był-bym zrozumiał. Arturze — — Jesteś dla mnie jakby... jakby moim wła-snym synem. Pojmujesz to? Jesteś światłem moich oczu, radością me-go serca. Oddałbym z ochotą życie, by uchronić cię od fałszywego kroku, który zwichnąć może całą twoją przyszłość. Ale niestety, ja nic u-czynić nie mogę. Nie żądam od cie-bie żadnych zobowiązań i przyrzeczeń, proszę cię tylko, byś pamiętał o tem i był ostrożnym. Zastanów się dobrze, nim coś nieodwołalnego po-stanowisz; uczyni to dla mnie, jeżeli nie dla matki twojej w niebiesiech.

— Dobrze, Padre, zastanowię się. Módl się za mną i za Włochy.

Ukląkł w milczeniu i w milcze-niu Montanelli położył rękę na jego głowie. W chwilę potem Artur po-wstał, ucałował rękę księdza i od-szedł, stąpając cicho po zroszonej trawie. Montanelli pozostał sam pod magnolią, patrząc wprost przed sie-bie w ciemność.

— Pomsta Boża dosięgła mnie — pomyślał — jak dosięgła Dawida. Mnie, którym brat Ciało Pana mego w skalane grzechem ręce. Pan był długo cierpliwy, ale teraz skończyło się: „Bo uczyniłeś to potajemnie, ale ja sprawię to w obliczu całego Izrae-la, i dziecko, zrodzone z ciebie, umrze!”

ROZDZIAŁ II.

Pan James Burton nie rad był projektowanej „włóczędce po Szwaj-caryi” swego przyrodniego brata z Montanelli'm. Ale zakazać wyra-źnie takiej niewinnej, botanicznej wy-cieczki z poważnym profesorem teo-logii nie chciał; a to by Artur, który nic o przyczynach takiego zakazu nie wiedział, nie dopatrzył się w tem bezcelowej tyranii i despotyzmu. Przypisałby to matychmiast religij-nym uprzedzeniom, a Burtonowie py-sznią się swoją światłą tolerancją.

Była to rodzina zagorzałych protestantów i konserwatystów od czasu, gdy Burton i synowie, właściciele okrętowej firmy z Londynu i Leghornu rozpoczęli prowadzić we Włoszech interesa swoje przed stu laty. Uważali oni jednak, że angielscy dżentelmenowie powinni postępować przyzwoicie nawet z papistami, i gdy szef firmy, któremu sprzykrzyło się

wdowieństwo, ożenił się z ładną ka-toliczką, guwernantką swych młod-szych dzieci, dwaj starsi synowie, James i Tomasz, aczkolwiek wielce przykrą była im obecność w domu macochy, nie wiele co starszej od nich, zgodzili się z posępną rezygna-cją z wolą Opatrzności. Po śmierci ojca małżeństwo najstarszego bra-ta utrudniło jeszcze bardziej i tak dość niemile położenie, aczkolwiek obaj bracia szczerze usiłowali bronić Gładys od napaści nielitościwego je-zyka Julii i wypełniać swoje obo-wiązki względem Artura. Nie uda-wały przywiązania, którego nie czuli, i wspaniałomyślność ich względem chłopca ograniczała się na tem, że mu nie żalowali pieniędzy i pozwalali mu robić, co mu się podobało.

To też w odpowiedzi na swój list Artur otrzymał czek na pokry-cie wydatków i chłodne zapewnienie, że może spędzić wakacje, jak uwa-ża za stosowne. Artur wydał po-lowę zaoszczędzonej gotówki na bot-a-niczne książki i zielniki i puścił się z Montanelli'm w swą pierwszą, alpej-ską podróż.

Montanelli był w tak dobrem u-sposobieniu, w jakim Artur odda-wała go nie widział. Otrząsnawszy się z pierwszego wstrząśnienia roz-mowy w ogrodzie, odzyskał duchow-ą równowagę i spokojnie na całą tę sprawę patrzył. Artur był bardzo młody i miedošwiadczoney, postano-wienia jego mogły uleść jeszcze nie-jednej zmianie. Montanelli spodzie-wał się, że łagodne perswazyje i ro-zumowania sprowadzą go z nie-piecznej ścieżki, na którą tylko wszedł.

Mieli zamiar spędzić kilka dni w Genewie, ale na widok białych, pła-wiących się w słońcu ulic, zapcha-nych turystami, Artur skrzywił się zlekka. Montanelli przyglądał mu się ze spokojnym uśmiechem.

— Nie podoba ci się tutaj, *ca-rino*?

— Nie wiem, doprawdy. Ja to sobie tak inaczej wyobrażałem. O-wszem, jezioro jest piękne i te góry mają malownicze zarysy.

Stali na wyspie Rousseau'a i chłopiec wskazał ręką na długą, su-rorową linie sabaudzkiej strony.

— Ale miasto jest takie sztywne, wymuskane, i ma taki... taki prote-stancki, zadowolony z ciebie wygląd. Nie; nie lubię go; przypomina mi Julię.

Montanelli zaśmiał się.

— Biedny chłopcze! To pra-wdziwa kłeska. Ale skorośmy przy-byli jedynie dla rozrywki, więc nie potrzebujemy tu tkwić. Co powiesz na to, gdybyśmy tak przejechali się dzisiaj po jeziorze, a jutro od rana wybrali się w góry?

— Ależ, Padre, chciałeś tu prze-cieć czas jakiś zabawić?

— Mój drogi chłopcze, ja już to wszystko po kilkanaście razy wi-działem. Jedynym celem moich wa-

kacyj jest twoja przyjemność. Gdzie-byś chciał pojechać?

— Jeżeli ci to wszystko jedno, mój ojczy, to chciałbym podążyć aż do źródeł rzeki.

— Rhonu?

— Nie, Arwy; płynie tak szybko.

— Więc udamy się do Cha-mounix.

Całe popołudnie spędzili krążąc po jeziorze w żaglowej łódce. Piękne jezioro mniejsze wrażenie wywarło na Arturze, niż szara i błotnista Ar-wa. Wzrósł nad brzegiem Śród-ziemnego morza i przywykł do błę-kitów fali; ale szybki prąd rzeki miał dla niego nieprzeparty urok.

Wybrali się więc nazajutrz wczesnym rankiem do Chamounix. Artur był w doskonałym humorze, dopóki jechali żyzną doliną, ale gdy skręcił; w wijącą się pomiędzy wy-sokiemi, poszarpanemi skałami dro-gę, spoważniał i zamilkł. Od St. Mo-ritz szli już piechotą, zatrzymując się na noclegi w maleńkich górskich wioskach i znowu wędrując, gdzie im przyszła fantazyja.

Artur był dziwnie wrażliwy na wpływ widoków przyrody i pierwszy wodospad, jaki ujrzał, wprowił go w niewysłowiony zachwyt; ale gdy zbliżyli się ku śnieżnym szczytom, popadł w jakąś milczącą ekstazę, jakiej Montanelli nigdy w pierw-u nie-go nie widział. Rzecz było można, iż istnieje jakiś mistyczny związek po-między nim a górami. Godziny ca-łe leżał bez ruchu wśród ciemnych, sosnowych lasów, patrząc po przez wysokie, proste pnie na obłany słoń-cem świat błyszczących szczytów i nagich skał. Montanelli przyglądał mu się z rodzajem mętnej zazdrości.

— Powiedz mi, co widzisz, gdy tak patrzysz przed siebie bez koń-ca? — rzekł pewnego dnia, odrywa-jąc wzrok do książki i przenosząc go na Artura, który leżał na mchu bez ruchu, patrząc szeroko rozwartemi oczyma w bezmiar błękitu i złota. Zboczyli z głównego gościńca na nocleg do cichej wioski w pobliżu wodospadów Diosaz i ponieważ słoń-ce miało się już ku zachodowi, we-szli na porośniętą sosnami skałę, by przyjrzeć się alpejskiej glori i za-chodniej nad Mont Blanc'em.

Artur podniósł głowę i spojrzal na Montanelli'ego wzrokiem pełnym podziwu i tajemniczości.

— Co widzę, Padre? Widzę ol-brzymią białą postać w błękitnej szacie nie mającą początku ani końca. Widzę ją, jak czeka wiek za wiekiem na przyjście Ducha Bożego. Widzę ją, jak przez zakopcone szkła.

Montanelli westchnął.

— I ja widywałem niegdyś po-dobne rzeczy.

— A teraz nie widzisz ich już, mój ojczy?

— Nie; nigdy więcej nie zoba-czę. Są one tu, wiem, ale nie mam dla nich oczu. Widzę coś zupełnie innego.

— Co widzisz, ojczu?

— Ja, *carino*? Widzę błękitne niebo i ośnieżony szczyt; to jest gdy spojrzę w górę. Ale tam w dole jest inaczej.

Wskazał na rozciągającą się przed nimi dolinę. Artur ukląkł i pochylił się nad brzegiem przepaści. Wysokie jodły, ciemne w zapadającym już mroku wieczora stały jak straża wzdłuż wązkich brzegów rzeki. Nagle, słofce czerwone, jak rozżarzony węgiel, zapadło za zębaty górski szczyt i wraz z niem znikło życie i światło w dolinie, która przybrała jakiś ponury, widmowy wygląd. Prostopadłe, magiczne szczyty zachodnich gór podobne się stały do zębów czającego się potwora, a podnoszące się z głębi doliny wierchołki jodeł wyglądały jak tyleż najeżonych dzirytów, podczas gdy w dole prąd wody luczai i wyl, rozbiłając się o ścianę skał z wściekłością wiecznotrwałej rozpacz.

— Padre! — szepnął Artur postając — to istne piekło.

I wstrząsnął się cały.

— Nie, mój synu — odpowiedział Montanelli łagodnie — to tylko ludzka dusza.

— Chyba dusze tych, którzy żyją w ciemnościach i cieniach świata.

— Nie; dusze tych, których codziennie mijasz na ulicy.

Artur wzdygnął się i spojrział w dół. Biaława mgła blakała się pomiędzy drzewami i opadała na rzekę melancholijnym welonem.

— Patrz, Padre — rzekł Artur nagle — ci, którzy żyli w ciemnościach, widzieli jednak wielkie światło.

I wskazał na wschodnie szczyty, gorejące jak żużle w zachodniej łunie. Gdy światło to zgasło, Montanelli dotknął ramienia Artura:

— Pójdź, *carino*. Już ciemno, nie znajdziemy potem drogi.

— Trupem tu czuć — szepnął Artur, odwracając się od widmowych kształtów olbrzymiego śnieżnego szczytu, blade przeblaskujące w pomroce.

Zeszli ostrożnie, kierując się do wiejskiego domku, w którym mieli nocować.

Gdy Montanelli, przebrawszy się, wszedł do pokoju, w którym Artur czekał na niego przy nakrytym do wieczery stole, spostrzegł, że chłopiec otrząsnął się z ponurego nastroju i był jak przeobrażony.

— O! Padre! — zawołał — patrz tylko na tego psa. Jaki on zabawny! Jak tańczy na tylnych łapach!

Był tak pochłonięty talentami psa, jak poprzednio widokiem alpejskich szczytów. Właścicielka domku tego, kobieta z czerwoną twarzą, stała obok w białym fartuchu, opierając ręce na biodrach i spoglądając z uśmiechem na szpryncę, jakie Artur z psem wyprowadził.

— Widać, że to jeszcze pstro w głowinie być musi, skoro mu się takich figlów zachciewa — rzekła do swojej córki w narzeczu. — A jaki ładny chłopiec!

Artur zacerwienił się, jak pensjonarka, a kobieta, widząc, że zrozumiał, odeszła śmiejąc się z jego pomieszania. Przy kolacyi rozmawiał tylko o wycieczkach i botanizowaniu, zającąc z największym apetytem.

Dalszy ciąg nastąpi.



Zwierciadło polskie.

Nakładem księgarni L. Fiszera wyszło „Zwierciadło polskie”, pismo zbiorowe — z inicjałem na okładce, orłem czwartaków. Pod tę chorągiew rycerną zaciągnęli się: p. Ludwik Abramowicz, który analizuje psychikę naszej „Ugody”, Zuzanna Rabska w dwóch sonetach „Belweder” i „Przed białym domem” maluje nastroje serc powstańców, a znany i ceniony poeta p. Edward Słoiński w noweli „Dzieci” pokazuje nam dusze nas wszystkich, dla których książka polska stawała się synonimem utraconego raj — wolnej od rosyjan ojczyzny. Szereg obrazków z walk legionowych, legiony polskie we współczesnej beletryście niemieckiej oraz słynna odezwa archimandryty poczajowskiej ławry do zabłąkanych braci polaków i wspomnienia z pobytu rosyjan w Lwowie uzupełniają ten bardzo interesujący zeszyt „Zwierciadła polskiego”. Karykatury K. Markiewicza, rysunki Ferd. Ruszczyca i winitety p. K. Puryckiego artystycznie zdobią wydawnictwo. Szkoda tylko, że papier dano taki ciemny.

W czas burzy.

Nowele p. Wiktorii Przeradzkiej są dziełem młodej a niewprawnej jeszcze ręki. Młodość i niewprawność otula je specjalnym urokiem. Trudno o nich powiedzieć coś konkretnego. Przyszłość może zgotować niespodziankę. W każdym razie warto, by autorka zaczęła używać znaki pisarskie. Dotychczas jest jej dostępna tylko pauza, a przecież mamy jeszcze przecinki, średniki, dwukropki. Stosunkowo najprawdziwszą rzeczą jest ostatni obrazek w „Czas burzy”. Uczucia sanitariuszki na widok kozaka ranego oddane są plastycznie i z dużą godnością. Są one sympatyczne i stanowczo ciekawsze od filozofii p. Błażeja Miłosa i całego tego rewolucyjno-arty-

stycznego środowiska, w którym przebywa Justa. P. Przeradzka ładnie też odczuwa przyrodę i umie dać uczuciom swoim wyraz.

Kalendarz Rolniczy.

Na rok 1916 pod redakcją M. Rożańskiego wyszedł „Kalendarz Rolniczy”. W kalendarzu tym podano cały szereg praktycznych informacji, które doskonale służyć mogą jaknajszerszym warstwom naszych gospodarzy rolnych.

Myśl i Dusza.

P. Kazimierz Kosiński, jak widać z dopisku na okładce, jest autorem ośmiu książek poetyckich. „Mojżesz”, „Śmierć”, „Hiob”, „Król Jagiello”, „Warneńczyk”, „Pieśń nad Pieśniami”, „Chrystus” oraz „Tomasz à Kempis” — oto tytuły jego dzieł. Obecnie wydał „Myśl i Duszę”, zbiór wierszy o nastroju dydaktycznym. Na tomik ten składają się wiersze: Apolo, Ecce Homo, Pieśń niedoli, Modlitwa, Pieśń radosna, Pieśń tęsknoty, Smutna jest dusza moja i Hymny wśród nocy. O wierszach tych niewiele można powiedzieć. W każdym razie nie są one podobne do wersyfikacyjnych wyrobów, szanujących końcówkę. P. Kosiński bowiem pisze wiersze filozoficzno-metafizyczne, a więc chodzi mu przedewszystkiem o to, że „nie z jakiegoś bożego rozkazu, nie jakimś — Stań się — jednym z bożej mocy, lecz wszedł człowiek, jako drzewo w boru. Siłą i pędem swoistą natury”. (Str. 19). Takie wierszowane wynurzenie p. Kosińskiego napewno nie chwyci artystycznie nikogo za serce, nie rozegra się w pieśni prostej uczuciowości. Zresztą metafizyczne swoje koncepcje przeżywał p. Kosiński w Paryżu przy ulicy des Beaux-Arts, w Parnie nad Oceanem i w Przedborzu, co pod każdym wierszem notuje, by ułatwić krytyce orientację. Wielu zwolenników „Myśl i Dusza” p. Kosińskiego nie znajdzie.

Pierwsze Zasady Psychologii.

Prof. Julian Ochowicz wydał bardzo praktyczny podręcznik p. t. „Pierwsze Zasady Psychologii”. Dotychczas tego rodzaju książki oryginalnej nie mieliśmy. Musiano się posługiwać przekładami. Praca jednak prof. Ochowicza stoi znacznie wyżej od wielu tego rodzaju książek, gdyż wykazuje względność ludzkiego poznania. Prof. Ochowicz we wstępie informuje: „Psychologia dzisiaj przestała już być nauką jednostkową; jest dziełem pracy zbiorowej badaczy, ale na nieszcześnie praca zbiorowa, laboratoryjna, wydała dotychczas tak liczne, ale też i tak rozbieżne spostrzeżenia, że nikt jeszcze nie pokusił się o ich uogólnienie i wcielenie w całokształt psychologii empirycznej. Żyjemy w okresie przejściowym, i psychologia dzisiejsza, chociaż już zatracła cechy indywidualne, przynajmniej metafizyczne, nie ma jeszcze cech nauki zbiorowej, przyrodniczej, tak wykończonych, jak fizyka lub chemia”. Podręcznik swój prof. Ochowicz przeznaczył jako pomoc dla samouków, dla uczących się w szkołach oraz dla wykładających.

